№ 13 Warszawa, dnia 20 Marca (1 Kwietnia) 1882 roku.



TYGODNIK MÓD
I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

SURSUM CORDA!

Duszo smutna ocknij się z tego odrętwienia,
Strząśnij pył ziemskiej myśli co cię jeszcze gnębi,
Rzuć troski, rzuć urazy w fale zapomnienia,
I ku niebu, ku słońcu, zwróć twój lot gołębi. —

Patrz, jak z tej wysokości wszystko tam maleje:
Ludzie to ziarnka piasku, ich czyny — atomy!
A twoje niespełnione pragnienia, nadzieje,
To niby w wielkiem dziele brak punktu lub komy.

Dalej gdy sięgniesz wzrokiem po świecie zdumiona,
Zobaczysz takie rzeczy że ci zadrży serce;
Krzyż co ludzkości zbawcze otwiera ramiona,
Z imieniem Zbawiciela zelżyli bluźnierce,
W obec tego widoku, łzą świętą zroszona,
Twa troska osobista zagaśnie w iskierce.

Emilia.

Radoszewice.

NA MORZU.

NOWELLA

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

VI.

Trzy pograniczne powiaty miały teraz wiele do mówienia. Najprzód mówiono, że pani Izabela z Adelą na wielką podróż się wybierają, potem mówiono, że się już wybrały, a w końcu podawano sobie z ust do ust różne ciekawe biuletyny, które z po za Alp do nadwiślańskiej ziemi przechodziły.

Biuletyny te były bardzo zwykłe. Przyjechały tam i tam, są zachwycone tem i owem, poznały tych i owych. Naturalnie co do tych ostatnich mówi się tylko o takich, którzy nam zaszczyt przynoszą. Przesyła się ten zaszczyt w listach do znajomych i przyjaciół, a ci puszczają go dalej ustnie i listownie. I tak z tego tworzy się historya, podróżujących jakiej jedni im zazdroszczą, a którą inni złośliwemi uwagami objaśniają.

I tak ci złośliwi ludzie mówili najprzód, jak i wiele u żydków na lichwę pieniędzy pożyczono, wiele po raz drugi po kilku tygodniach z zagranicy zażądano i na jaki procent. Te uwagi i wiadomości przeplatano rozmaitemi morałami, jakto zwykle bywa u ludzi, którzy chorują na wątrobę, a nieuleczalni dodawali nawet i to, co wcale prawdą nie było!

Życzliwsi i lepszą fantazyą wyposażeni ludzie miewali inne o podróżnikach wiadomości. Opowiadali sobie, że zaraz pierwszego dnia poznały się w drodze z synem jakiegoś milionera, który z własnej woli towarzyszył im przez cały tydzień. Oświadczył się nawet pannie Adeli, ale ta nie przyjęła go z powodu innego wyznania wiary. Dalej opowiadano, że w Wiedniu w loży Opery zwróciła Adela uwagę jakiejś wysoko położonej osobistości, której jednak wiek już spóźniony nie pozwalał na przyjęcie ofiary serdecznej. Mówiono dalej o markizach, dukach hrabiach, grandach i baronach, którzy stosownie do krajów zwiedzanych, mieli szalenie zakochać się w pięknej Polce i odpowiednie do swojej narodowości wyprawiali jej owacye. Jedni przysyłali im ekwipaże swoje do usługi, skromniejsi grywali im przy gitarze serenady, lub chodzili jak szyldwach pod oknami hotelu, w którym kryła się czarna polska perła. Wojskowi strzelali się o nią i bili na pałasze, mniej odważni truli się, lub topili w mniejszych lub większych rzekach, stosownie do swego wzrostu. Istniał nawet raz jakiś plan porwania polskiej Sabinki, czemu jednak czujność cioci Izabeli i policyi zapobiegła.

Wieści takie obijały się także o uszy Władysława. Jakkolwiek słuchał ich na pozór obojętnie, w głębi jednak duszy trafiały na coś, co mu sprawiało pewną boleść albo przynajmniej nie najlepszy humor. Po każdej takiej wieści biegł w pole i tam z tego co widział, najczęściej nie był zadowolony. Widział że rdza osiada na kłosach pszenicy, to znowu, że jakaś tajemnicza mucha podziurawiła mu listki rzepaku. Nie wszystko to było prawdą, ale winien był temu jakiś rzymski hrabia lub francuzki markiz, o którym właśnie nadeszły wieści do powiatu... Źle na takich wieściach wychodził zazwyczaj ekonom wraz z całą służbą dworską, a ta tylko między panem a służbą była różnica, że tamten widział właściwego swego nieprzyjaciela, a ci nie widzieli go.

— Coś źle z naszym panem — mówił raz eko-

nom do pachciarza — możeby lepiej było, gdyby się ożenił!

— To prawda — odparł z powagą pachciarz.— Człowiek bez żony, to tak jak tyka bez fasoli!

— Zakrawał coś na ożenek z tą panną z sąsiedniego dworku, która teraz w świat wyjechała!

— No — ona tam wychodzi za jakiegoś księcia!

Na nieszczęście ostatnie słowa posłyszał Władysław. Ekonoma napędził do roboty, a pachciarza złajał za to, że mleko wodą rozpuszcza, co krowom jego dobrą reputacyą odbiera.

Nietylko najbliższe otoczenie jego widziało robaka, który go wiercił. Zacny pan Zdzisław, sąsiad Władysława, spostrzegł to także. Chciał przyjaciela swego czemś rozerwać, a gdy wygadywania na kobiety nietylko nic nie pomogły, ale nawet go rozdrażniały, użył innego środka. Był częstym gościem sam u niego a powoli przywoził także z sobą różnych towarzyszów. Zaproponował strapionemu bohaterowi karty jako wypróbowany antydot na wszystkie zmartwienia ludzkie.

Zrazu podobał się Władysławowi ten antydot. Pochwycił go z pewną gorączką... Grał coraz namiętniej a zacny sąsiad dotrzymywał mu placu wraz z innymi towarzyszami. Za kilka tygodni biały domek Władysława stał się istną szulernią. Grano od świtu do nocy i od wieczora do świtu, a stary ekonom i zacny pachciarz byli zmuszeni ponowić dawną rozmowę swoją.

— Źle mości Moszku — mówił ekonom — jeżeli pan żony nie ma.

— Źle panie Piotrze—odpowiedział pachciarz— bo żona w domu to jak dobra kwoka, która krzykiem jastrzębia odpędza.

Jastrzębi swoich nie widział Władysław, ale zato spostrzegł, że pugilares jego stawał się coraz chudszy, podczas gdy przyjaciel Zdzisław piękne koniki sobie kupił a nawet elegancki wózek ze stolicy zapisał. Bohater obliczył koszt nowej rozrywki i dowiedział się, że przegrał cały spodziewany plon tegoroczny...

Tak dłużej nie mogło pozostać. Pod pozorem zatrudnień gospodarskich, pożegnał przyjaciela i jego towarzyszów na czas nieograniczony, a sam siadł na wózek i pojechał do cioci Klotyldy.

Pani Klotylda była właśnie w zenicie swego szczęścia. Otoczona gronem młodych indycząt, kacząt i kurcząt przedstawiała istną Zosię z „Pana Tadeusza”. Gdyby tego obrazu nie był popsuł poważniejszy nieco wiek gorliwej gospodyni, Władysław byłby uległ złudzeniu, że widzi żywcem najpiękniejszy ustęp poematu.

— Jakież wiadomości od wojażerki? — zapytał zaraz po przywitaniu smutny bohater.

Pani Klotylda spostrzegła, że był bledszy i że schudł nawet. Przedarła się przez zastęp pierzasty i spojrzała z litością na pacyenta.

— Wiadomości jak najlepsze — rzekła do niego — są zdrowe a Adela wygląda prześlicznie. Przysłała mi swoją fotografią. Podróż i włoskie powietrze ożywiły jej twarz do niepoznania.

— Zapewne i towarzystwo przyczynia się do tego — odparł zjadliwie powiatowy bajronista.

— Nie przeczę, towarzystwo dobrane przyczynia się nieraz do zdrowia. Mówią, że wody zagraniczne mniej może skutkują od towarzystwa, jakie u tych wód znajdujemy. Ludzie z ludźmi żyć potrzebują.

— Tem lepiej skutkuje to w podróży, gdzie nie potrzeba pluskać się w wodzie... W wykwintnych hotelach zasiada się do wykwintnego obiadu obok niemniej wykwintnego sąsiada, który jest hrabią, markizem lub księciem. Sąsiad taki przy smacznych potrawach jest zazwyczaj bardzo rozmowny i grzeczny. Chwali miasto, okolice, a w nawiasie i piękne oczka swojej sąsiadki... Od takiej podwójnej biesiady wstaje się z podrażnioną wyobraźnią, a po kilku takich spotkaniach nawiązuje się złota nić marzenia, że dostojny sąsiad zakochał się, że się wkrótce oświadczy, a nawet że już przygotowuje podarki ślubne! Takie specyały więcej warte od wód mineralnych, które nawet nie bardzo są smaczne.

Pani Klotylda pogłaskała indyka, który względem Władysława okazywał jakieś niedobre zamiary, i tym sposobem przerwała katastrofę.

— Jest w tem coś prawdy—rzekła po chwili — towarzystwo w podróży ożywia umysł, ale z tąd nie wynika, aby zaraz marzyć o ślubnym pierścionku. Gdym się chowała u moich niezbyt bogatych krewnych, przyjeżdżał często na koniu pan Tyburcy, okazały syn bogatego sąsiada, i różne prawił mi komplementa. Ani przez myśl mi nie przeszło, aby chciał się ze mną żenić. A gdy raz przy zbieraniu mleka chciał mnie pocałować, dostał warzęchą taką odprawę, że nietylko dosyć długo świata bożego nie widział, ale nawet już więcej do naszej zagrody nie trafił!...

— Nie wszystkie panny są tak rozsądne...

— To prawda. — Moja siostra chowana w bogatym domu, wzięła na seryo komplementa hrabiego Izydora i tak sobie tem oczy zapruszyła, że oprócz niego, nikogo już nie widziała, ani zacnego dzierżawcy z sąsiedztwa, ani poczciwego doktora, który jak febra co drugi dzień dwór nawiedzał!

— Otóż takiego „zapruszenia”, bardzo się obawiam.

— Czy pan myślisz o pannie Adeli?

W tej chwili trzeba było znowu czemś udobruchać najeżonego indyka, który gotował się do ataku na potwarcę Adeli. Ciocia, nie mając w ręku żadnych łakoci, ograniczyła się na lekkiem potrąceniu nogą napastnika.

— Nie masz pan prawa tak mówić o Adeli — rzekła, nie czekając odpowiedzi — Adela nie byłaby tak łatwowierną!

— Mówią w sąsiedztwie, że właśnie panna Adela ma nadzieję powrócić do domu nie sama...

— Co też pan mówisz! Wierzysz pan w plotki złośliwe, które tylko porządnej pannie ubliżać mogą. Czyż nie dość mamy przykładów, jacy to są mężowie z zagranicy sprowadzeni?

— Wszystko to nie naucza nas...

— Wstydź się pan utrzymywać coś podobnego. Oskarżenia swoje opierasz pan na plotkach i przypuszczeniach. Pochopność do tego czyni panu wprawdzie zaszczyt, bo widać, że panu Adela nie jest obojętną, ale z drugiej strony wyrządzasz pan jej wielką krzywdę!

— Krzywdę? — przerwał blednąc bohater — krzywdę miałbym wyrządzić pannie Adeli?... Widzisz pani, na samą myśl krew we mnie się ścina!

Ciocia uśmiechnęła się, i tym razem nie nogą ale ręką odepchnęła nieubłaganego indyka.

— Niech pan lepiej wierzy dobrym instynktom swego serca — odpowiedziała po chwili — bo instynkt serca w takim razie więcej waży, aniżeli wszystkie biuletyny całego powiatu.

Za te słowa chciał Władysław ciocię czemś wynagrodzić, i już usta swoje do chropawej nieco rączki gospodyni zbliżył, gdy nieprzejednany nieprzyjaciel jego, wytłómaczywszy sobie fałszywie to zbliżenie, całą siłą uderzył na niego. Po załatwieniu tego nieporozumienia, które nieoględnego napastnika kilka garści pierza kosztowało, dokonał bohater swego przedsięwzięcia.

— Za tę życzliwość serdecznie pani dziękuję, zawołał z otuchą, i byłbym już teraz szczęśliwym, gdyby mi jakiś zły duch nie szeptał, że życzliwość pani może jakiś wypadek pokrzyżować.

— Za wypadki nie ręczę, chodziło mi tylko oto, abyś pan, nie przekonawszy się, siebie nie dręczył a drugich nie krzywdził!

— Nie przekonawszy się! Wyrzut to słuszny, ale jakże trudno przekonać się!

— To już rzecz nie moja! Są na to różne sposoby...

— Przekonać się... przekonać się... są na to sposoby... dalibóg żaden nie przychodzi mi do głowy.

— Ja nic radzić panu nie mogę i nie powinnam.

— Przekonać się!... łatwo to wymówić!

— Patrz pan na to stadko indyków! Łatwo je obaczyć a jeszcze łatwiej zjeść na talerzu, ale wychować... mówię panu to nie mniejsza trudność od tej, o której pan myślisz!

Pierzaste stadko jakby zrozumiało, że o niem mowa, podniosło tutaj okrzyk radosny, który nie pozwolił dalej prowadzić rozmowy. Wprawdzie ciocia zaproponowała gościowi szklankę kawy, ale gość tak był jakoś zamyślony, że propozycyi tej nawet nie słyszał, tylko skwapliwie się pożegnał. Ostatnie słowa p. Klotyldy tak dziwnie wpłynęły na niego, że sam nie wiedział, jak stanął u furtki, przed którą czekał na niego wózek, dobrze mu znany. I właśnie zbliżył nogę do stopnia, aby usiadłszy na tym wózku spokojnie mógł dalej myśléć nad tem, co mu na ostatku protektorka jego powiedziała — gdy nagle usłyszał za sobą jakiś szum tajemniczy a równocześnie uczuł na plecach jakieś niemiłe dotknięcie, podobne do dotknięcia się ręki, która nieproszonego gościa za drzwi wypycha. Władysław obejrzał się i ujrzał za sobą swego nieubłaganego wroga, który trąciwszy go silnie w plecy porządkował właśnie zmęczone skrzydła swoje.

Prosty ten wypadek nasunął Władysławowi dziwne myśli, które jeszcze dziwniejszemi stawały się przy jednostajnym turkocie wózka, który go wiózł do progów rodzinnych. Zdawało mu się, że jak ów nieszczęśliwy Adam w raju przez anioła został on przez indyka wygnany z tego dworu, w którym mogło mu być jeszcze lepiej aniżeli w raju! A za tą czarną myślą następowała jeszcze czarniejsza, że Adela prawdopodobnie już się zagranicą z kimś zaręczyła, i że może już jest w drodze do domu, w towarzystwie jeżeli nie męża to przynajmniej narzeczonego markiza lub księcia!...

Czarne te myśli tłoczyły się w jego głowie, wpijały się w mózg rozdrażniony i sprawiały mu boleść niewymowną. Na szczęście spotkał bryczkę sąsiada Zdzisława, który właśnie od niego wracał. Sąsiad Zdzisław wyskoczył z bryczki, uściskał przyjaciela i zapytał:

— Cóż ciocia Klotylda? Czy mówiła, kiedy narzeczeni przyjadą?... Czy to prawda, że wezmą już ślub w kościele św. Szczepana? Czy słyszałeś o tem? To przecież nikczemna kobieta!...

— O ślubie nic nie wiem — odpowiedział z powagą bohater — i pani Klotylda także nic nie wie, ale powiadam ci, gdyby tak było w istocie, to nie powiedziałbym tak jak ty, że panna Adela jest nikczemna, ale że jest dla mnie najobojętniejszą kobietą w świecie! Tego tylko pragnę, abym wiedział, że tak jest... abym się mógł przekonać, że to, o czem mówią, jest prawdą... że prawdą jest

jakoby tylko po to za granicę wyjechała, aby tam jakiego męża z tytułem upolować... Mówię ci, gdybym się sam przekonał, że tak jest a nie inaczej, zapomniałbym wszystko i wróciłbym do orki pod oziminę, tak spokojny jak po grze w wista, po której okazuje się, żem nic nie wygrał i nic nie przegrał!

Sąsiad Zdzisław uściskał go za te słowa.

— Mówię ci, bądź już spokojny, jak po wiście— rzekł do niego — a może dla odmiany zrobimy partyjkę dyabełka albo maczka?

— Nie, nie—odparł impetycznie Władysław — spokojnym być jeszcze nie mogę!...

— Dlaczego nie?

— Bo... bo... bo się nie przekonałem!

— Śmiej się z tego!

— Bez przekonania śmiać się nie mogę!

— To się przekonaj!

— Ba, ale jak?

Roześmiał się kochany sąsiad.

— Wiesz co? daj mi pieniędzy, a ja za nią pojadę.

Zamyślił się nad tem Władysław.

— Myśl nie zła — odrzekł po chwili — ale nie w tej formie, jak ją podałeś!

— To już rzecz nie moja, ubierz ją w formę, w jaką chcesz!

I obaj sąsiedzi pożegnali się serdecznie.

(D. c. n.)

O moja dolo!

(Słowa sieroty.)

O dolo; złowroga dolo,
Ty wichrze w zapasach z rolą,
Co życiu kłosów zagraża!
Gdzie groza ustawia progi,
Gdzie burza zamiata drogi,
Tam się twa szala przeważa!

Na łąkach w uścisku kwiaty,
Po siołach tulą się chaty,
I tych i tamtych tak wiele!
Tu w życia mego pustyni,
Z łez tuman powisa siny,
Głucho — jak w martwych kościele...

Tam ptaszę gniazdko uplata,
Tu dzieci wołają tata —
Wszystko gdzieś tuli swą głowę!...
Przede mną, jak wzrok doleci,
Kąt ciemny wśród cudzych śmieci.
I drogi łzawe cierniowe...

O dolo, błysku jutrzenny!
Tyś świat mój wiośniany senny
Innemi wieńczyłaś kwiaty:
I mnie wesołą dziecinę
Huśtały pieśni matczyne,
Unosząc w edenu światy.

Widniała ojczysta chatka,
Tam płużył ojciec i matka,
Tak błogo było — obficie...
Dokoła własnej zagrody
Bił promień jasnej pogody,
Do celu kroczyło życie.

Złączona wiosny biesiadą,
Z motylów barwnych gromadą,
Do łona tuliłam zorze;
Łabędzie lazurów duchy,
Zwabione mojemi ruchy,
Pląsały, bijąc w gwiazd morze.

O dolo, ty śnie przeszłości!
Jak z ciała odarte kości,
Marnieją twoje pamiątki!...
Nad niemi z życiem ulata,
Myśl żalem jeno bogata,
Żywiąca rumowisk szczątki.

Z znużonym kijem pielgrzyma,
Wodzę błędnemi oczyma
Po dróg mych dzikiem urwisku:
Rzut nieopatrzny na stronę,
Szał bólu, czucia zburzone,
W przepaści legną łożysku.

Oni garść rzucą obmowy,
Lub zimno potrzęsą głowy,
Pierś żywej depcząc mogiły;
Krwią spłyną ślady tułacze,
A matka już nie zapłacze:
Jej serce prochy spowiły!...

O dolo, iskro nadziei!
W burzliwej życia zawiei,
Ślę przed się drżące źrenice...
Tam dźwięków wiruje fala,
Tam noc pochodnie zapala:
Toż zorzy twej błyskawice?

Białawe widma mogilne,
Potęgą jedności silne,
Obronne dzierżą ramiona;
Złowieszczych cieni gromada,
Już zda się w otchłań zapada —
Przedświtu skrzy się odsłona.

Przykuta piersią do głazu,
Cień ścigam tego obrazu,
I dusza mówi pacierze...
Z kąd bije ta łuna drżąca.
Co mą żałobę roztrąca?
Ktoż szepcze w głąb ducha: wierzę?

Romania Kamieńska.

Z PAMIĘTNIKÓW
Leandra Szyszeczki-Walskiego.

Spisane przez

Lodomira Szczerbowicza Wieczora.

(Dalszy ciąg.)

Owo wzmiankowane powyżej ciągłe zabieganie umysłu dziecięcego naprzód, sięganie po za szranki tego co mu w danym czasie dawała przyjęta rutyna, jest, zdaniem mojem, rzeczą naturalną i konieczną, gdyż niepodobna odmierzać rozwijającemu się umysłowi ściśle określonych dawek, mających mu zupełnie wystarczać. Stosuje się to nie do wyjątkowych tylko i genialnych umysłów, ale wogóle do wszystkich, gdyż nawet każdy nauczyciel wie dobrze, iż przechodząc pewną ściśle określoną ilość materyału naukowego, obowiązującego uczniów jednej klasy, wypada mu nieraz zabiegać naprzód, sięgać do zakresu klasy wyższej. To samo dzieje się i przy nauczaniu początkowem, tak samo postępuje umysł dziecinny, party żądzą wiedzy i ciekawością, rozwijający się pod wpływem czytania i obcowania ze starszymi. O ile pamiętam, owo wybieganie po za szranki rutyny, owa żądza wiedzy objawiała się u mnie coraz to silniej z latami. Tak będąc już w szkołach, zwykle naprzód przeczytywałem wszystkie swoje podręczniki, na początku roku szkolnego kupione. Przez to nabywałem już wyobrażenia o oczekującem mnie zadaniu, a spamiętawszy rzeczy ważniejsze, ciekawsze i łatwiejsze, pojąwszy to, co bez pomocy i skazówek nauczyciela pojąć się dało, miałem już niejako gotowe ramy, które późniejsze wykłady nauczycieli wypełniały ostatecznie. Tak samo odczytywałem nawet podręczniki i kajeta braci, o kilka lat starszych; nadto, bardzo już wcześnie rwałem się do czytania książek w językach obcych — francuzkich, niemieckich, a później i łacińskich, nie umiejąc jeszcze dobrze gramatyki i rozumiejąc z początkn zaledwie małą cząstkę, a później, przy wytrwałem czytaniu, coraz to więcej i więcej. Zastanawiając się dziś nad tem, uważam tę drogę czytania książek za najlepszą do nauki języków: co do książek niemieckich, trzymałem się tego zwyczaju ciągle, nawet już będąc w uniwersytecie i doszedłem w końcu do tego, że i Kant i Hegel nie zawierali nic dla mnie niezrozumiałego i do słownika uciekać się nie potrzebowałem. A przytem, tak jakoś się złożyło, że właściwie porządnego kursu gramatyki niemieckiej nie uczyłem się nigdy, a do słownika nawet w dzieciństwie nie pozwalała często zaglądać zbyt niecierpliwa ciekawość: tak istotnie godnem jest podziwienia, jak wiele domyślić się można, czytając. Tu muszę jeszcze dodać uwagę, że jak wogóle pamięć w wieku dziecinnym jest potężną, tak i ja też celowałem pamięcią; ale zastanawiając się teraz nad tem, spostrzegam że pamięć służyła mi wtedy tylko, nawet do spamiętania szeregu dat i imion własnych, kiedy zarazem były zainteresowane uczucia i wyobraźnia, od rzeczy zaś mniej potrącających wyobraźnię i niemiłych i pamięć odwracała się także ze wstrętem i przyswoić ich nie mogła. Tak np. od dzieciństwa lubiłem historyą i miałem wyborną pamięć do tej nauki, ale i w historyi trafiały się pewne działy, pełne rzeczy niesympatycznych jak np. dzieje następców Aleksandra Macedońskiego, wędrówki barbarzyńców lub wojna siedmioletnia: tu pamięć mnie zawodziła, niechętnie przyswajając szeregi suchych imion, dat i nazw narodów barbarzyńskich. Z tej samej konieczności poparcia pamięci uczuciem i wyobraźnią, fizyką i naukami przyrodniczemi zajmowałem się chętnie i z dobrym skutkiem; mniej chętnie geometryą, a z najmniejszym skutkiem — suchą arytmetyką i algebrą.

Całe niemal wykształcenie moje przedszkolne złożyło się z owych wykazanych powyżej żywiołów — z czytania, słuchania i swobodnego wybiegania naprzód. Z powodu bowiem słabości zdrowia, długo nie przystępowałem do regularnej rutyny, a gdy wreszcie czas jej nadszedł, gdy nawet sądzono, że już jest nieco zapóźno i że trzeba przecie rozpocząć „porządną naukę” — pokazało się, że już ją całą, w zakresie od mego wieku wymaganym, posiadam, a nawet, że już umiem daleko więcej. Pozostało więc tylko uzupełnić te wiadomości wymaganiami urzędowemi, co w ciągu roku dało się uczynić tak pomyślnie, że mając lat

12½, zdałem egzamin wprost do czwartej klasy gimnazyalnej.

Z powodu takiej drogi przedszkolnego mego wykształcenia, tak dobrze jak wcale nie miałem ani guwernantek ani nauczycieli.

Z wykładu guwernerów braci starszych nie korzystałem bezpośrednio i regularnie; tylko do muzyki i rysunków mieliśmy poczciwego Niemca Rose. Starowina ten, w rudej peruce i w tabaczkowym fraku, nazywał mnie zawsze „mein lieber Léander" (z akcentem na pierwszej zgłosce), ale niewiele nauczył. Miał on już stałą i niezmienną metodę, jeśli to metodą nazwać można: na lekcye muzyki przynosił klawisze i nuty, na tekturze wyrysowane; rysunków uczył, dając kopiować z wzorów i sam na każdej stronicy kajetu ucznia wyrysowując wyłącznie tylko liście, kwiaty i owoce; co się zaś tyczy języka niemieckiego, to oprócz jakiej takiej konwersacyi, zadawał z książki wzory deklinacyi i konjugacyi na pamięć, nie troszcząc się o żadne objaśnienia. Niewiele tedy korzystałem z jego lekcyi: największej jeszcze w konwersacyi niemieckiej, ale w gramatyce, pamiętam, że raz zadałem mu pytanie, dlaczego to mówi się „ich bin *krank*" i w liczbie mnogiej także: „wir sind *krank*?" Pan Rose nie odpowiedział mi na to, tylko powtórzył kilka razy z naciskiem *wir sind krank*, zmuszając mnie do bezmyślnego powtarzania konjugacyi. Od tego czasu zbrzydziłem sobie jego wykład i gramatykę niemiecką. Mało pomogła nawet ulubiona p. Rosego, opowiadana przezeń wszystkim uczniom anegdotka o dworzaninie Fryderyka II, który miał się nazywać Zara Ziri Zazarini Zaranowa Zaręba; a gdy król zdziwiony takiem nazwiskiem, powiedział że i „sam dyabeł się tak nie nazywa", dworzanin odparł: „bo też nie pochodzi on z mojej familii". Do muzyki nie miałem jakoś wielkich zdolności i nie przekroczyłem gam; owoce i kwiaty rysowałem już nieźle, że po gamach i owocach bardzo długo nie następowało nic nowego, krytyczny mój umysł dziecinny zaczął podejrzywać, że umiem już prawie tyle, co sam p. Rose. Pewnego więc razu, ku wielkiemu zdumieniu p. Rosego, przyszło do tego, że nie chciałem nadal brać od niego lekcyi, dobitnie i aż z płaczem twierdząc, że już niczego mnie nie nauczy, że „szkoda czasu i *pieniędzy*" (okazałem w tym wypadku jakąś wyjątkową, jak na dziesięcioletniego chłopca, praktyczność). Podobno też miałem słuszność.

Tu już zakończę wspomnienia, tyczące się pierwotnego wykształcenia naukowego.

* * *

O wychowaniu religijnem i moralnem nie powiem dużo, gdyż musiałbym tu wdać się w ocenę skutków takowego na sobie i na reszcie rodzeństwa, a gdybym nawet i zdołał bezstronnie wywiązać się z tego zadania, nie mógłbym wymagać od czytelników wiary w tę bezstronność; nadto, chwaląc swoje pierwotne wychowanie religijne i moralne, wpadłbym w samochwalstwo; ganiąc zaś, musiałbym ganić postępowanie tych, do których kierownictwo pod tym względem należało.

Unikając tedy obszernego traktowania kwestyi, tylu trudnościami najeżonej, ażeby nie wpaść ani pod Scyllę, ani w Charybdę, poprzestanę na zaznaczeniu, że szacunek dla religii skutecznie wpojony w nas został od dzieciństwa, wraz z szacunkiem dla osób duchownych, co było tem łatwiejsze, że księża, których od lat młodocianych aż do czasów stosunkowo niedawnych pamiętam, zasługiwali na powszechny szacunek i tem samem nakazywali szanować religią, której byli widomymi przedstawicielami. Nie masz bowiem wątpliwości, że osoba księdza, czy to jako proboszcza, czy to jako nauczyciela religii, wpływa dużo na pojęcia dziecinne o religii i na ich uczucie religijne. Napatrzyłem się dawniej na przykłady dodatnie, uzasadniające powyższe twierdzenie; widziałem też później niemało przykładów ujemnych, równie wymownych. Wszelako w czasach mego dzieciństwa i w moim zakątku rodzinnym przykłady dodatnie przeważały: nie było wtedy jeszcze księży, którzy przez roztargnienie lub wskutek innych przyczyn, opuszczaliby we mszy Pater noster lub inne jej części; nie było i takich, którzy przekładając nadewszystko interesa kieszeni, uchylaliby się od wypełnienia obowiązku obywatelskiego przy pomocy machiawelskich wykrętów...

Co do zasad moralnych, niech mi wolno będzie wspomnieć, że wpojono w nas *wstręt do kłamstwa* i *sprawiedliwość*; są to zaś, według mego zdania, kardynalne podstawy moralności, kierujące stosunkiem człowieka do siebie i do bliźnich. Stara to bowiem prawda, że kłamstwo jest źródłem wszystkich występków, a niesprawiedliwość — źródłem najokropniejszej niedoli. Jeszcze Persowie starożytni, według świadectwa Herodota, uczyli swe dzieci jazdy konnej, strzelania z łuku i *prawdomówności*, a filozof angielski Clarke, który żył w wieku XVII, nie bez słuszności dowodził, że wszystkie wady, występki i zbrodnie są właściwie kłamstwami, jako *zaprzeczenia, negacye* cnót i wrodzonych sumieniu podstaw moralnych. Co się zaś tyczy sprawiedliwości, najdawniejsi mędrcy cenili wysoko tę cnotę, a Plato uważa ją za podstawę wszelkiego społeczeństwa, wszelkich związków towarzyskich. Historya czasów dawnych i najnowszych przedstawia nam niemało przykładów okropnego stanu i upadku tych, którzy nie umieli zachować sprawiedliwości względem innych i następnie ulegli sami wyrokom Boskiej sprawiedliwości. Jakiemi sposobami i jaką metodą wychowania można skutecznie nauczyć dzieci *prawdomówności* i *sprawiedliwości?*

Na to pytanie trudno odpowiedzieć wyczerpująco; rozstrzygając zaś je tylko częściowo i pośrednio, na mocy własnych wspomnień i zastanowienia nad przykładami kłamliwości i niesprawiedliwości dzieci, później dostrzeganemi, mniemam, że kłamliwość dzieci płynie przeważnie *z braku należytego dozoru*, gdy dzieci mogą broić, co się im podoba, a następnie kłamią, ażeby się uniewinnić; następnie *z braku serdecznego stosunku do rodziców i zbytniej ich srogości*, co bywa powodem udawania, skrytości, obłudy i kłamstwa wskutek *wielomówności*, tembardziej jeżeli rodzice chwalą się przed gośćmi rozumem i dowcipem swych dzieci i podsycają w nich tym sposobem chełpliwość, od której nieodłącznem jest kłamstwo.

Niesprawiedliwość zaś powstaje w charakterze dziecięcym wskutek zbytecznego im dogadzania, zbytnich pieszczot względem jednego dziecka, z ujmą drugiego, a przedewszystkie ze złego przykładu — z niesprawiedliwego postępowania rodziców z domownikami. Te same mniej więcej przyczyny, co i *niesprawiedliwość*, wytwarzają *chciwość* i *zazdrość*, a trzy te wady potworne łączą się razem w jedną szkaradną całość, zwaną *egoizmem*, który przygłusza i zabija wszystkie cnót zarody, wszystkie dobre instynkta duszy ludzkiej.

Tu muszę wspomnieć o jednej jeszcze, na pozór drobnej, ale w gruncie, jak mniemam, ważnej okoliczności, a mianowicie o szkodliwości wczesnego zaprawiania dzieci do wszelkich gier z wygraną, a zwłaszcza pieniężną, połączonych, głównie zaś do gier karcianych. Tu raz jeszcze wspomnę poczciwego Ławrynowicza, który brzydził się kartami i przestrzegał, żebyśmy ich nie znali. Raz pamiętam — byłem już w takim wieku, że mogłem to rozumiéć — dowodził poczciwy nasz przyjaciel, jak to przy grze w karty powstają i rosną najgorsze i najszkodliwsze namiętności: chciwość, skąpstwo, gniew, zemsta, radość z cudzej biedy, zawód w nadziei, rozpacz, chytrość, przebiegłość i t. d. „Bodajby z piekła nie wylazł ten, kto te karty wymyślił" kończył Ławrynowicz, a niektórzy z nas, chociaż przypadkiem już byli nauczyli się, wprawdzie bez pieniędzy i nawet wogóle bez jakiejbądź wygranej, grywać w dziecinne gry karciane, w *fiufiu, nosa, kalabraka, woza, młynka, gospodarza, pamfila, kiksa* i *maryasza*, nigdy z tą swą umiejętnością nie zdradzili się przed Ławrynowiczem.

* * *

(*D. c. n.*)

KONIK POLNY U MRÓWEK.

Komedya w jednym akcie,

przez

ERNESTA LEGOUVÉ i EU. LABICHE

członków akademii francuzkiej.

Przekład **Seweryny D.**

(Dalszy ciąg.)

SCENA III.

Ciż sami i Służący.

Służący. List do pana, od pani de Torcy.

Chameroy (żywo). Daj! (Cicho do córki.) A widzisz że przybędzie. (Służący wychodzi. Wszyscy troje wstają, Chameroy czyta.) „Mój drogi przyjacielu!" (z radością) nazywa mnie swoim przyjacielem.

Henryeta. To bardzo poufale!

Chameroy. Alboż nie będziem należyć do rodziny? (Czyta.) „Mój drogi przyjacielu, zanim o czwartej udasz się do tych Chameroy"...

Pani Chameroy. Udasz się?... co to znaczy? do kogo ten list?

Chameroy (czytając). „Myślę że wypada abym ci dała niejakie objaśnienia tyczące tej rodziny... (Przerywa czytanie.) Może to nie do mnie pisano? (Podnosi z ziemi kopertę.) Ha! rozumiem, kuzyneczka się pomyliła, przysyła mi list pisany do pani Verac. Prosta nieuwaga.

Henryeta. A więc papo, nie wypada go czytać...

Chameroy. Zapewne... a jednak radbym poznać te objaśnienia.

Henryeta. Dlaczego?

Chameroy. Muszą być bardzo pochlebne... Zobaczę tylko sam początek. (Czyta.) Ci Chameroy, to ludzie najuczciwsi...

Henryeta. Wybornie! Ja poprzestałabym na tem...

Chameroy (czytając). „Matka smaży doskonale konfitury..."

Pani Chameroy. Co?

Chameroy (czytając). „Ojciec pisze sam kwity dla lokatorów..."

Henryeta (śmiejąc się). To prawda!

Chameroy (czyta). „Syn dobry chłopiec — jeździ na kursa omnibusem."

Pani Chameroy. Szydzi z nas — doprawdy...

Chameroy (czytając). „Ci Chameroy..." (Przerywa.) Ci Chameroy! (Czyta znowu.) „Ci Chameroy mają trzy miliony, ale należą do tych, o których powiedziano, że więcej znajdują trudności w wydaniu pieniędzy, niżeli wich zebraniu!" (Przerywa.) Cóż ona chce powiedzieć?

Henryeta. Doprawdy nie rozumiem.

Chameroy (czyta). „Ich apartament, najwierniejszym ich portretem... meble podobne do nich: mocne, trwałe, ale szkaradne..."

Pani Chameroy. I to ma być nasz portret!

Chameroy (czyta). „W dni godowe — obiad ich składa się nieodmiennie z polędwicy z sosem pieczarkowym i z indyki nadzianej kasztanami..."

Henryeta. Zkądże ona wie o tem?

Pani Chameroy (biorąc list z ręki męża — czyta). „Ci Chameroy mają stajnię, a w niej dwie spasłe bronowłoki..."

Chameroy. Zna jak widać całą rodzinę.

Pani Chameroy (czyta). „Jedna ma lat dwanaście, druga liczy piętnasty."

Henryeta. Obliczyła wiek naszych koni!

Pani Chameroy (czyta). „Nie wyjeżdżają nigdy podczas deszczu, ani ślizgoty, ni też kiedy słońce przypieka..."

Chameroy. Ależ to prawdziwe szpiegostwo!

Pani Chameroy. Ha! zaczyna mi drażnić nerwy ta kuzyneczka! (Czyta.) „Jednem słowem, aby określić tę przemysłową rodzinę, porównam ją do gniazda mrówek..."

Henryeta. Mrówek!

Chameroy (odbierając list żonie). Mrówek!... (Czyta.) „Które wiecznie gromadzą, zbierają a nie znają ani wydatku, ani spoczynku, ani przyjemności!... Wiem te szczegóły od służącego, którego niedawno oddalili, a który jest obecnie u mnie..."

Pani Chameroy. Ten leniuch Jan—teraz wszystko rozumiem.

Chameroy (czyta). „Zobaczysz sam kuzynku, czy ci wypada ugrzęznąć w tem mrowisku."

Pani Chameroy. Nasz dom mrowisko!

Chameroy. Ha! niepoczciwa kuzynka! Oskarża mnie, że nie umiem wydawać pieniędzy! Nazywa mnie mrówką... mnie. Jednem słowem zbiję te fałsze. Dziś właśnie zsumowałem całoroczny rachunek... przed tobą nie mam tajemnic moje dziecię. (Otwiera wielką księgę, wskazuje cyfry Henryecie.) Zobacz sama.

Henryeta (śmieje się). Ależ papo, ja się na tem nic nie znam!

Chameroy. Zobacz, ja żądam tego. Dochód 152,527 franków, rozchód 149,814 franków. Wszak cyfry mówią same przez się?

Henryeta. Jakto papo? wydaliśmy 149,000 franków?

Chameroy. Dodaj 814, tak jest, co do centima. A teraz posłuchaj szczegółów: „dnia 16 stycznia, kupiłem trzydzieści akcyi północnych—37,500 franków; dnia 16 kwietnia, nazajutrz po terminie, sześćdziesiąt akcyi południowych—44,700; dnia 16 lipca sześćdziesiąt obligacyi na kolej zachodnią—38,220 franków." Trudno pojąć jak te pieniądze lecą.

Henryeta. Ależ papo, to nie żaden wydatek, raczej pomieszczenie kapitału.

Chameroy. W każdym razie to wyszło z kasy.

Henryeta. Ależ...

Chameroy (przechodząc na prawo). Nie znasz się na rachunkowości!... No proszę... mrówki! Gotów jestem odprawić od drzwi, pana Verac z jego miłą kuzynką.

Henryeta. Nie spiesz się tak ojcze...

Chameroy. Mrówki!... my!... szczęściem książka moja starczy za dowód.

Henryeta (siada przed biórem — liczy chwilę). Ja słaba jestem w rachunkach drogi papo... (ukazuje księgę) ale z tych cyfr pokazuje się, że wydatek wynosi 29,394 fr., a pomieszczony kapitał, 120,420 franków.

Chameroy. Niepodobna!

Henryeta. Sprawdź-że sam papo.

Chameroy (przyglądając się księdze). Zobaczmy, północ... południe... obligacye zachodnie... To jednak prawda!

Henryeta. A więc kuzynka ma słuszność, że nie umiemy wydawać.

Chameroy. Inaczej mówiąc że jesteśmy mrówki! Dziękuję!

Pani Chameroy. Radabym odpowiedzieć na bezczelny list pani Torcy.

Chameroy. Dałbym 100,000 franków! żeby upokorzyć tę plotkarkę.

Henryeta. Byłby na to sposób... ale trudno...

Chameroy. Jaki? mów!

Henryeta (zbliżając się do ojca). Wypadałoby... zmienić trochę układ naszego domu...

Chameroy. Odmienimy go całkiem... mrówki!...

Henryeta. Naprzykład, nasz stary kocz żółty.

Chameroy. Każę go zaraz przemalować. Mamże powiedzieć prawdę—twoja matka winna wszystkiemu. Ona tak skąpi. Ale od dziśdnia, biorę na siebie zarząd domu... i...

Henryeta. I... i cóż uczynisz, papo?

Pani Chameroy. Powiedz, radabym wiedzieć?

Chameroy. Ja sam nie wiem, ale jak odbiorę komorne...

Henryeta. Kupisz papo nowe obligacye! O! bo to sztuka wydawania pieniędzy, to zupełnie jak talent do fortepianu. Potrzeba zacząć młodo...

Chameroy. I jakże tu poradzić?

SCENA IV.

Ciż sami i Służący.

Służący (wchodząc). Jakiś pan chce się widzieć z panem.

Chameroy. Któż taki?

Służący. Oto karta...

Chameroy. Paweł de Vineuil... Znam to nazwisko? proszę...

Henryeta (do matki). A mój kurs?... a moja książka?... Ha otóż i on.

(Służący wychodzi. Henryeta siada na kanapie obok ojca.)

SCENA V.

Ciż sami, Paweł.

Paweł. Pan Chameroy?

Chameroy. W czemże panu mogę usłużyć?

Paweł. Pan ma w ręku weksel, z podpisem Paweł de Vineuil.

Chameroy (na str.). Ha to on! (Głośno.) Wypłacalny za trzy miesiące.

Paweł. Tak jest — oto przychodzę właśnie...

Chameroy. Aby odwlec termin? jak najchętniej...

Paweł. Przeciwnie... chcę przyspieszyć wypłatę. Wyjeżdżam do Pikardyi, zostanę tam czas jakiś, pragnąłbym wprzód uiścić się z długu...

Chameroy. Przyniosę zaraz weksel. (Wychodzi.)

Pani Chameroy. Racz pan odpocząć chwilę...

Paweł (siadając). Skoro pani pozwala...

Pani Chameroy. Czy wolno zapytać, w którą stronę Pikardyi pan wyjeżdża? Ja też jestem Pikardką.

Paweł. Jadę do Saint-Quantin!

Pani Chameroy. Moje rodzinne miasto!

Paweł. Zabawię w zamku Verac.

Pani Chameroy. Który należy do rodziny pana Verac, urzędnika wydziału spraw zagranicznych?

Paweł. Tak jest, pani.

Pani Chameroy. Pan go zna jak myślę?

Paweł. To mój dobry przyjaciel. Czyżby i pani go znała.

Pani Chameroy. Żyjemy z jego rodziną. (Z wahaniem.) On się podobno żeni?

Paweł. A więc pani słyszała o tem? Szczęśliwy zbieg doprawdy... mogę powziąć od pani wiadomość w sprawie, która mnie bardzo niepokoi.

Pani Chameroy. Jakto?

Paweł. Pan de Verac nie chciał powiedzieć mi nazwiska rodziny, z którą ma zamiar się połączyć... a pogłoski światowe, budzą obawę moją.

Pani Chameroy. Cóż świat mówi o tej rodzinie?

Paweł. Że niezupełnie odpowiada młodzieńcowi tak wytwornemu jak pan Verac... Mówią że ojciec prostak, matka skąpa, a panienka trochę niezgrabna.

Pani Chameroy. Czy tak?

(D. c. n.)

KILKA SŁÓW

O PIŚMIENNICTWIE CZESKIEM.

(Dokończenie.)

Druga biografia zapoznaje nas z poetą chorwackim Stankiem Wrazą i dowodzi jak się Czesi gorliwie zajmują piśmiennictwem Słowiańszczyzny i jak z nią sympatyzują. Pół wieku temu, piśmiennictwo chorwackie było w tak opłakanym stanie, że jeden z najbardziej zasłużonych poetów chorwackich, Piotr Preradowic, nie pojmował nawet jak można pisać w tym języku.

Obok innych zasług Stanko Wraz ma i tę jeszcze, że tegoż Piotra Preradowica zachęcał w pierwszych jego próbach na polu literatury ojczystej i odgadł w poecie przyszłą chwałę narodu swego. To co uczynił dla jednego ze swych braci po piórze, uczynił dla całego piśmiennictwa, on je dźwignął, on podtrzymywał i wszelkich sił dokładał aby mu zjednać prawo obywatelstwa. Nie było pisarza słowiańskiego z którymby nie korespondował, starając się na każdym kroku dowieść że duch narodowy żyje i nie zaginął.

Listy te przyłączone do jego życiorysu, podnoszą wartość tej pracy. Brak nam obszerniejszych wiadomości aby ocenić działalność Wrazy jako poety, i szczerze tego żałujemy, bo te postacie nowożytnych rycerzy walczących o byt swój narodowy na polu literackiem, przedstawiają nam typy pełne życia i świeżości, budząc tem samem najżywsze żajęcie.

Jedną z takich jest Piotr Preradowic, wyżej wspomniany poeta chorwacki, z którym spotykamy się właśnie w „Kwietach", w obszernem a zajmującem studyum pióra „J. Hudca", Preradowic urodził się w 1818 roku w Chorwacyi, a mając lat

dziesięć został oddany do szkoły wojskowej, po jej zaś ukończeniu przeszedł do akademii wojskowej w Wiedniu. Przebywszy tę drogę, tak zniemczał, że nie był nawet w stanie rozmówić się z matką i siostrami w języku ojczystym. Wcześnie już obudziło się w nim zamiłowanie do poezyi i wkrótce nawet zwrócił na siebie uwagę wierszami pisanemi po niemiecku. Poznanie kilku przedstawicieli ówczesnego piśmiennictwa chorwackiego zmieniło kierunek myśli jego i celów, a miłość dla kraju, drzemiąca w głębi jego duszy, rozbudziła się z podwójną siłą. Lękał się jednak pisać po chorwacku, ale pisząc po niemiecku obierał temata narodowe. Wreszcie na odezwę rymowaną przyjaciela Chorwata, odpowiedział w tymże samym języku, lecz ta pierwsza próba zupełnie się nie powiodła. To go zniechęciło że długi czas nie brał pióra do ręki, gorliwie jednak pracował aby owładnąć językiem ojczystym i poznać jego piśmiennictwo. W tymże czasie, w 1844 r., zaczął wydawać wraz z drugimi czasopismo „Zorza". Na usilne nalegania przyjaciół napisał wiersz do wstępnego numeru. Pisał pełen obawy i niepewności czy potrafi wywiązać się z powierzonego mu zadania, a jednak powodzenie wiersza owego noszącego tytuł: „Zorza świta" przeszło wszelkie jego oczekiwania. Odtąd już bezustanku pracował na niwie literatury ojczystej, chociaż w pracy tej przeszkadzało mu życie wojskowe, obok którego troski i zmartwienia w rodzinie pióro z rąk mu wytrącały.

Brał udział w wyprawie włoskiej w 1848 roku i w wojnie z Prusami w 1866 r., wtenczas to otrzymał stopień generała. Zmarł w Wiedniu w 1872 roku, powszechnie żałowany nietylko przez patryotów słowiańskich ale i przez wszystkich którzy mieli sposobność zbliżyć się do niego. Świetnym pogrzebem i wielu mowami uczczono pamięć poety, a następnie zwłoki jego przewieziono do Zagrzebia jak tego sobie gorąco życzył.

W rok potem nakładem całego narodu wydano poezye Preradowica dzieląc je na sześć części: I) poezye różnorodne; II) patryotyczne; III) okolicznościowe; IV) pierwsi ludzie; V) poezye miłosne; VI) poezye na temata cudzoziemskie, a wreszcie pozostałości literackie. Prócz poezyi historycznych zostawił także dwa dramata niepośledniej wartości: „Królewicz Marko" oraz „Włodzimierz i korsarze". Pierwszy zaś zbiorek poezyi Preradowica wyszedł jeszcze w roku 1846 zatytułowany: "Pierwiosnki" i był czytany z największym zapałem, tak że rozchwytywano go sobie. Może jeszcze nigdy lira chorwacka tak słodko i wdzięcznie nie przemawiała, a przynajmniej dawno już nie dźwięczała na nutę tak gorąco patryotyczną. Prócz wspomnianego utworu „Zorza świta" Hudec zapoznaje nas w swojem studyum z wierszem: „Wędrowiec" w którym poeta opisuje stan swojej duszy i cierpienia jakich doznawał znajdując się na obczyznie. Śliczny jest wiersz „Zgasła miłość" poświęcony pamięci ukochanej małżonki, zmarłej w młodym wieku i wspomniana tylko „Oda do śmierci" w której się odbiły przekonania spirytystyczne jakim poeta uległ około 1866 r. pod wpływem cierpień moralnych.

Zatrzymawszy może zadługo uwagę czytelniczek na tej sympatycznej postaci poety chorwackiego, powracamy do przeglądu nowości czeskich a naprzód do broszurki: „Kwestya kobieca w Czechach" przez Elizę Krasnohorską napisanej.

Zapatrywania się pani Krasnohorskiej na kwestyą kobiecą, chociaż głównie Czeszki ma na celu, dadzą się zastosować i do ogółu kobiet... Odrzucając od słowa „emancypacya" wszystkie początkowe naleciałości; ekscentryczność w ubraniu, swobodę w ruchach i mowie, pomiatanie przyjętemi zwyczajami i t. p. Szanowna autorka stawia emancypacyą na gruncie praktycznym i w jej imieniu żąda dla kobiet ułatwienia w nabywaniu wszechstronnej wiedzy i możność pracowania na każdem polu stosownie do swego uzdolnienia. Żądanie swoje opiera na silnych podstawach, a obok logicznych dowodzeń, że dobro społeczeństwa całego wymaga aby rozszerzono zakres pracy kobiecej, z zapałem przypomina że kobiety nabyły już prawa do równości, gdyż umiały poświęcać się i walczyć w sprawach publicznych. Tłomaczy swemu narodowi, że mu potrzeba licznych zastępów w walce, którą bezustannie z obcym żywiołem prowadzi, że nie powinien więc odrzucać pomocy kobiet swoich, ale chcąc aby ta pomoc skuteczną była, aby kobiety pojęły całą ważność zadania, które się na ich barki wkłada, trzeba je kształcić, otwierać przed niemi szersze widnokregi i dać im możność iść o własnych siłach, by nie zaciężyły u ramienia mężów, ojców, braci, lecz w razie potrzeby same były w stanie rodzinę utrzymać. Żąda więc autorka pozwolenia uczęszczania do uniwersytetu, przyjmowania kobiet na rozmaite urzędy, jak np. pocztowe, telegraficzne, zarządzające szpitalami, innemi dobroczynnemi zakładami, szkołami niższemi i t. p. Nawołuje przytem gorąco o zachowanie ducha i języka narodowego, gdyż jak się dowiadujemy, kobiety czeskie długo stawiały opór patryotycznemu prądowi, przenosząc niemczyznę nad rodzinną mowę i wszystko co obce uważając za szczyt wykształcenia i cywilizacyi. Dziś i porównania nie ma z tem co się działo przed dziesięciu laty, a jednak i te resztki szkodliwych przesądów które istnieją, Krasnohorska stara się wykazać i usunąć. Krytyka czeska z największemi pochwałami przyjęła tę pracę zasłużonej autorki i poetki, a której my zawdzięczamy przekład „Pana Tadeusza" na język czeski.

W dziale beletrystycznym nie znajdujemy ani jednej oceny powieści, zato poezyi obszerny ustęp jest poświęcony. Bo też poetów grono niemałe święci obecnie odrodzenie narodu. Jak na wiosnę gdy śniegi roztają, zewsząd odzywają się chóry ptasząt, tak w Czechach duch narodowy uwolniony z więzów które go dotąd krępowały, rozwija skrzydła i buja swobodnie w przestrzeni, wyśpiewując ból miniony, miłość dla teraźniejszości i nadzieję na przyszłość. Wśród tak licznego grona, genialnego poety żadnego nie znajdujemy. to też i czas ich przeminął, ale zato ludzi niepospolitego talentu, pełnych zapału i ożywionych najszlachetniejszemi nadziejami, wielu spotykamy,

Pierwsze wśród nich miejsce zajmuje bezwątpienia Jarosław Wrchlicki, dobrze znany publiczności naszej, gdyż pomniejsze jego utwory często bywają w pismach naszych w przekładach umieszczane, a czytelniczki nasze mogły się najlepiej z nim zapoznać dzięki pani Duchińskiej i jej prześlicznem tłomaczeniom. Zrobimy więc tu tylko wzmiankę o ostatniem wydaniu utworów Wrchlickiego pod tytułem: „Pielgrzymka do Eldorado". Jest to zbiór poezyi miłosnych, lirycznych i filozoficznych.

Wieje od nich spokój ducha, pogoda umysłu; po złotej nitce snów o szczęściu, dąży poeta do Eldorado, i zwolna jeden po drugim te sny mu się urzeczywistniają.

Wielkie także pochwały przyznaje krytyka młodej poetce Irmie Geislowej, z talentem której zapoznała się szersza publiczność dopiero z powodu nieszczęśliwego wypadku z teatrem narodowym. Cechą jej jest oryginalność, dowcip i wesołość. Pracowita i uzdolniona poetka nie zadawalnia się krótkiemi lirycznemi utworami, lecz w zbiorku jej poezyi świeżo wydanym, drukowane są także dwie tragedye, dramatyczna fantazya jedna, i znów druga fantazya bohatersko-romantyczna.

Wspomniéć jeszcze musimy o poecie Karolu Leger, którego zbiorek poezyi tylko co drukowany, jak najkorzystniej świadczy o jego talencie. W niektórych utworach znać wpływ Słowackiego i chęć wstąpienia w jego ślady. Ta uwaga krytyki czeskiej wzbudza tem żywsze nasze zajęcie dla młodego poety.

Sam materyał *Kwietów* bogaty jest i urozmaicony: dwie biografie gruntownie opracowane: Cerwantesa i Preradowica; wspomniane studyum Tuma o Garfieldzie; zajmujące opisy podróży: „Helgoland", „Ku skalnym górom", „W dolinie Trzebinii", a zwłaszcza: „Malownicze wycieczki na pobojowisko Żyżki". Artykuły naukowo-popularne: „O wzroku i spojrzeniu" d-ra Chudoby; „O wykładzie historyi sztuk pięknych" rzecz miana przez d-ra Tyrsza w szkole politechnicznej czeskiej, oraz dokończenie pracy Hostinskiego: „Epos i Dramat". Wśród poetycznych utworów których jest kilka, zwrócił naszą uwagę wierszyk Hejduka: „I slunce zapadalo" (Słońce zachodziło).

Powieść, tak jak i pierwej, obficie lecz blado jest przedstawiona, i tak np. *Izda na Ples* czyli „Wycieczka na zabawę" Schulza, stara się być zabawną, humorystyczną, a w końcu rzewną, ale celu swego mało osiąga. Główną postacią jest stary kawaler zadomowany, gderający, myślący tylko o swoich wypadkach, otacza go kółko domowników wraz z gospodynią w której się niegdyś kochał. Pewnego razu staje się rzecz nadzwyczajna, stary kawaler wyjeżdża do sąsiedniego miasteczka na zabawę ku powszechnemu zdumieniu, lecz nim się zabawa rozpoczęła, dowiaduje się z opowiadania towarzysza tej wycieczki o śmierci tragicznej męża i syna swej gospodyni, a na wiadomość że ona wdową, przypomina sobie że był powodem wszystkich jej nieszczęść: powraca więc jak najspiesznięj do domu i ślub z nią bierze. Może dla Czechów powieść ta ma zalety dobrego charakteryzowania znanych typów i przedstawia więcej zajęcia, nam się wydała nudną i ciężką. *Pout' do Kawlaaru* (Pielgrzymka do Kawlaaru), jest dość udatnym drobnym szkicem powieściowym przez Albiera. *Zloczin* (Zbrodnia) dramatyczne opowiadanie z wojny prusko-austryackiej. *Howor listi* (Rozmowa liści), Swatoplaka Czecha, ślicznie napisana nowelka, pod względem stylu i obrazowości, ale treści zamało i zbyt zużyta. Młody poeta, nauczyciel w jakiejś arystokratycznej rodzinie, kocha się w pięknej baronównie, która tę miłość podbudza, wyzywa, bawi się nią dla przerwania nudów wiejskich, przybiera na siebie rolę Rusałki, a w jesieni wyjeżdża do miasta i wszystko zapomniane. Spotyka ją kiedyś poeta w mieście, na bal jadącą i ona nie poznaje nawet tego któremu tak niedawno najczulsze przysięgi miłości składała. Wreszcie wychodzi zamąż i wszystko tylko snem wydaje się naszemu poecie. Dalej mamy Liera: *Powidka s mrzutym koncem* (Powiastka ze smutnym końcem), przedstawia trochę więcej zajęcia, tylko początek jest nadto rozwlekły.

Może za surowo sądzimy powieści czeskie, ale nasza żywa sympatya dla Czechów i wysokie uznanie z jakiem zawsze dla nich jesteśmy, broni nas od posądzenia o niechęć lub niesprawiedliwość. Zresztą mieliśmy sposobność czytać kilka bardzo

ładnych powieści i nowelek czeskich i to nas ośmiela surowiej sądzić te któreśmy teraz mieli w ręku.

Z tłomaczonych powieści naszych mamy dokończenie Bałuckiego „Góral na równinach".

NOWE WYDAWNICTWA.

Powiastki niemieckie tłomaczone dosłownie na język polski dla wprawy w czytaniu i opowiadaniu bez nauczyciela, napisał Plato Reussner — cena kop. 18. Praca to bardzo staranna, polecamy ją wszystkim uczącym się języka niemieckiego, ułatwi to bowiem niezmiernie jego naukę.

Elementarz albo książeczka ułatwiająca czytanie i pisanie w 40-stu lekcyach bez sylabizowania ułożony przez K. I. U. P. R. dla Zosi i Helci.

Wyższa gramatyka polska źródłosłownia—część druga dla dzieci dojrzałych, przez Józefę Maleczyńską. Warszawa, nakład Ferdynanda Hösicka. Cena kop. 30.

Obrzędy rzymsko-katolickiego kościoła, objaśnione historyczno-dogmatycznie przez ks. I. W. U. Nauczyciela religii przy Gimnazyum Radomskiem. Część I.

Sposób służenia do Mszy Ś-tej, przez Ks. Kanonika Józefa Urbańskiego Nauczyciela Gimnazyum w Radomiu.

Sprawozdanie z wystawy inwentarza żywego i przedmiotów z chowem koni związek mających odbytej w warszawie w roku zeszłym 1881.

Ostatni list skreślił Aleksander Chomiński.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Godną uznania jesi chwalebna troskliwość właścicieli fabryki płótna w Żyrardowie, o podniesienie oświaty wśród robotników. Oprócz istniejących tam dwóch szkół rządowych, trzy szkoły prywatne są urządzone i utrzymywane kosztem fabryki; z tych jedna jest ewangielicka a dwie katolickie: żeńska i mieszana, w której uczą się razem chłopcy i dziewczęta. Jest prócz tego w Żyrardowie jedna jeszcze szkoła prywatna żeńska, ale w tej rodzice muszą płacić za naukę dzieci. Wszystkie te szkoły obsadzone są przez sumiennych i zdolnych nauczycieli i nauczycielki. Dzieci uczą się katechizmu, historyi swiętej, rachunków, czytania i pisania po polsku i po rosyjsku, historyi i jeografii. Obok tego, w szkółce fabrycznej mieszanej, chłopcy i dziewczęta uczą się rysunków ręcznych z wzorów i gipsów, i wielu doszło do znacznej wprawy. W każdej z istniejących szkół, liczba uczących dochodzi do 70 a niekiedy i więcej.

Oprócz wyżej wymienionych, właściciele urządzili jeszcze szkoły wieczorne dla dzieci pracujących w fabryce; dla chłopców przy szkołach rządowych, katolickiej i ewangielickiej, dla dziewcząt jedną przy szkole mieszanej prywatnej, drugą w ochronie, w której wykłada jedna z dozorczyń. Chłopcy pobierają naukę cztery razy na tydzień, od 7 do 8 wieczorem, dziewczęta dwa razy, od 7 do 9, ponieważ w drugie dwa dni wiele z nich uczęszcza na naukę szycia i robót ręcznych. Nietylko dzieci ale i starsze dziewczęta uczą się szycia, czytania i pisania; liczba takich wynosi corocznie kilkaset. Dla małych dzieci urządzona jest ochrona, w której mieści się obecnie około 200 dzieci, lecz z powodu zwiększającej się nieustannie ich liczby, ma być otworzony drugi oddział. Do ochrony przychodzą dzieci robotników za opłatą 10 groszy na tydzień, zaś od dzieci obcych, rodzice opłacają 20 groszy na tydzień. Każde dziecko może dostać w ochronie obiad, za *cztery grosze*. Wszystkie te szkoły, a szczególniej fabryczne i ochrona mieszczą się w obszernych, wygodnie urządzonych mieszkaniach. Gdybyż wszyscy przemysłowcy i fabrykanci chcieli naśladować tak piękny przykład!

*** Wieczór urządzony w Krakowie na cześć pamięci Słowackiego, staraniem młodzieży akademickiej z przeznaczeniem dochodu na rzecz „Macierzy polskiej" powiódł się świetnie — sala hotelu saskiego była przepełniona. Uroczystość zagaił prezes czytelni akademickiej, p. Ożog, przemówieniem w którem oznajmił, iż młodzież postanowiła corocznie urządzać podobne wieczory, aby dochodem jaki przynosić będą, powiększać zasoby „Macierzy" powstałej z inicyatywy czcigodnego Krasewskiego. Po tem przemówieniu, jeden z członków czytelni, zadeklarował wiersz Słowackiego „Grób Agamemnona" a p. Pawlikowski prześliczny wiersz Asnyka, poświęcony cieniom wielkiego poety. Grzmot oklasków powitał ukazanie się na estradzie p. Modrzejewskiej, która zadeklamowała wiersz „Smutno mi Boże" i parę ustępów z poematu „Srebrny sen św. Salomei". Gdy nie ustawały szalone oklaski, p. M. zadeklamowała jeszcze „Pożegnanie" Z. Krasińskiego. Epilogiem wieczoru było wymowne przemówienie profesora Rostafińskiego, który mówił tak serdecznie i ciepło, iż słowa jego znalazły oddźwięk w sercach młodzieży. Z powodu 80-tej rocznicy urodzin Józefa Bohdana Zaleskiego, zbierano tu podpisy z życzeniami dla ulubionego śpiewaka Ukrainy; w ciągu wieczoru nadeszły telegramy od młodzieży czeskiej, oraz z Wiednia, ze Lwowa i z różnych miejscowości.

*** Wkrótce już ma być otwartą w Wiedniu międzynarodowa wystawa sztuk pięknych w „Künstlerhaus" w której artyści nasi znaczny przyjmują udział. Matejko ma wystawić „Hołd pruski"; Fałat z Krakowa piękne akwarelle; Puchowski z Warszawy, duży obraz „Toast weselny"; Tadeusz Rybkowski „Banderę Huculów przy pociągu cesarskim w Kołomyi". Prócz tego nadesłali prace swoje malarze polscy z Monachium, jako to: Brand, Chełmoński, Kochanowski, Streit, Kozakiewicz, Świeszewski i kilku innych, a z Paryża: Merwerst i Piotrowski. Leopolski, obecnie stale zamieszkały w Wiedniu, wykończył bardzo staranne karton przedstawiający grupę dzieci i inwalidę w ogrodzie belwederskim, a na drugim kartonie rysuje obecnie zakonnice przechodzące z klasztoru do kaplicy.

— Doprawdy trudno nam uwierzyć temu co pisze do „Gazety Warsz." korespondent z Wiednia, jakoby powodowani niecną zazdrością, kilku miejscowych malarzy, pragnęło wszelkiemi środkami nie dopuszczać o ile się da do wystawy mistrzów pozawiedeńskich, a najgłówniej utworu Matejki, przewyższającego ich zdolnościami i sławą. Starają się mianowicie usilnie aby wyłączyć z wystawy ostatni obraz mistrza krakowskiego „Hołd Prusaków" pod śmiesznym pozorem że jest za wielki!... Czy panowie ci zastanowili się nad tem jaką krzywdę przyniosłaby wystawie nieobecność arcydzieła Matejki, oznajmiając „że treść jego zakrawa na mit"... Drugim utworem który także nie znalazł u nich uznania, jest obraz hiszpańskiego malarza, Padilli „Joanna szalona przy trumnie męża" który uwieńczony został pierwszą nagrodą na wystawie paryzkiej. I tu za pozór żądania swego podają „że za wielki". Rzeczywistym powodem jest zazdrość: wiedzą dobrze iż sztuka historyczna w wielkim stylu nie kwitnie dziś w Niemczech, a pragnąć ukryć fakt ten przed ogółem, pragnęliby nie dopuścić na wystawę znakomitych tego rodzaju utworów.

Powtarzamy iż trudno nam uwierzyć aby rzeczywiści artyści mogli być tak małoduszni.

*** Jedno z pism galicyjskich donosi: Osławiony paszkwilista, Sacher-Masoch, rozesłał do księży rusińskich w Galicyi okólnik, aby nadsyłali mu korespondencye, a on w wydawanym przez siebie piśmie „Auf der Höhe" bronić będzie Rusinów przeciw Polakom. Na odezwę jego odpowiedział ksiądz rusiński Hankiewicz, że Rusini nie potrzebują wcale obrony takich Sacher-Masoch'ów, i że dotychczas pamiętają jak straszne wyrządzał krzywdy ludności galicyjskiej, ojciec paszkwilisty. Tak więc gdziekolwiek zwróci się nikczemny potwarca, wszędzie z pogardą odtrącony zostaje.

*** W Chinach pierwszorzędne stanowisko zajmuje biurokracya, z którą nie może współzawodniczyć ani szlachta, ani duchowieństwo, ani nawet świat finansowy, chociaż ten ostatni dzięki przekupstwu, wielkie pozyskuje wpływy. Szlachta jest w państwie niebieskiem bardzo nieliczna, a potem Chińczycy są zdania iż cześć dla cnót ludzi zasłużonych, powinna raczej spływać na przodków którzy ich wychowali niż na potomków. Największą tedy przewagę w Chinach mają urzędnicy, i dlatego każdy stara się usilnie pozyskać jakikolwiek urząd, a jeźli nie może uzyskać go dla siebie, to popiera kogoś ze swej rodziny. Środkiem dopięcia tego celu jest wykształcenie naukowe, podlegające nader zawiłemu systematowi egzaminów państwowych. Od szóstego roku życia rozpoczyna się już dręczenie kandydata. Nauka nabywa się mechanicznie, nie jest wykładaną w szkołach ale prywatnie. Dzieci muszą najpierw uczyć się na pamięć katechizmu Gan-cu-kung'a, przepełnionego filozoficznemi abstrakcyami, niedostępnemi do pojęcia dla malców; dalej z kolei następuje artymetyka, nauka towarzyska, fizyka, astronomia i t. d. I wszystkie te nauki uczeń chiński musi wbijać sobie w głowę do ósmego roku życia, poczem studyuje klassyków, których także musi uczyć się na pamięć, dopokąd tak nie pozna Konfucyusza i Mencyusza, iż czuje się zdolnym zdać pierwszy egzamin.

Najważniejszą rolę wśród urzędników niższych (7-ej klasy) odgrywa naczelnik okręgu, kierujący administracyą, sądownictwem i wydziałem podatkowym. Ma on prawo skazywać winnych na karę dochodzącą 50 kijów (bambusów). Za każde wykroczenie podwładnych, bez względu czy mógł czy nie mógł temu przeszkodzić, jest on odpowiedzialny przed swoją zwierzchnością... Sądownictwo chińskie jest zepsute i przedajne; winowajcy przekupują niższych urzędników, a ci nie dopuszczają aby skargi pokrzywdzonych dostały się do sędziów. Źródłem przedajności jest przeważnie zbyt nizkie uposażenie urzędników, jakoteż że bywają mianowani na krótki czas i nigdy nie są pewni jutra. Mandaryni nawet tracą posady za najlżejsze przewinienie, a nadto w razie śmierci któregoś z rodziców, każdy urzędnik musi na lat trzy odsuwać się od służby. Z tych powodów pragną zbogacić się jak najprędzej, a dla

niepoddających się ich wymaganiom wymyślają najdokuczliwsze szykany, noszące w państwie niebieskiem ogólną nazwę *le-so.* W pośród licznych zażaleń zanoszonych przez ludność na publiczne i prywatne uciski, *le-so* najgłówniejsze zajmuje miejsce.

Do szczególnych urządzeń mandarynizmu należy instytucya cenzorów, składająca się z wysokich dygnitarzy, którym przysługuje prawo urzędowego roztrząsania publicznej czynności swoich kolegów. Krytyce tej podlega nawet działalność cesarza. Przyznać trzeba że wobec powszechnego zepsucia, cywilna odwaga cenzorów zasługuje na uznanie.

Mandarynem zostać może każdy Chińczyk jeźli zda wymagany egzamin i nie jest synem aktora, sługi mandaryna, lub kogoś spełniającego jedną z kilku profesyi, uważanych w Chinach za poniżające. Ktokolwiek nie należy do kategoryi urzędników *Kuan-jen'ów* nazwany jest *Min-jen* i zaliczany do gminu.

⁂ Czarodziejskie istnie wrażenie wywierać ma obecnie wieczorami pałac kryształowy w Londynie, oświetlany niezliczoną liczbą lamp elektrycznych, z powodu odbywającej się w nim właśnie wystawy elektrycznej. Północny powilon pałacu, jak wiadomo cały zbudowany ze szkła, oświetla słońce elektryczne Bruch'a o sile 150,000 świec; dalej 40 świeczników o sile 20,000 świec, i nareszcie 26 mniejszych kinkiet i 600 lamp systemu Lane-Fox. Równie wspaniale oświetlone są inne pawilony, skrzydła i dziedzińce przepysznego tego pałacu. Sala koncertowa oświetlona jest 600 lampami Edison'a.

⁂ Pan Popop, asystent profesora medykocherurgicznej akademii w Petersburgu, pana Suszczyńskiego, robi obecnie doświadczenia nad własnościami nowego preparatu farmaceutycznege, nazwanego „styron" (od styrax) mającego prawdopodobnie stać się jednym z najskuteczniejszych środków dezynfekcyjnych. Dokonane już doświadczenia wykazały, iż styron jest cieczą wydającą woń bardzo miłą, przypominającą zapach fiołków. Płyn ten użyty w małej dawce, powstrzymuje proces fermentowania i gnicia, oraz niszczy mikroorganizmy. Mięso polane tym preparatem, w ciągu sześciu miesięcy zachowało się doskonale, nie tracąc nic ze swych własności. Środek ten dezynfekcyjny, zastosowany do mieszkań, może oddziaływać zbawiennie podczas panujących zaraźliwych chorób, a nadto może służyć za preparat znieczulający, zastosowany przy operacyach chirurgicznych.

Jeźli doniesienie to okaże się prawdziwem i styron nie będzie zakosztowny do ogólnego użycia jako środek dezynfekcyjny, ileż to tysięcy ludzi błogosławiłoby wynalazcę, że ich uwolnił od duszącego smrodu jaki wydaje proszek karbolowy pozwalając natomiast rozkoszować się miłą wonią fiołków.

⁂ W pierwszych dniach stycznia, miasteczko Etolikon w południowej Rumelii, było świadkiem szczególniejszego zjawiska. Od samego rana rozeszła się wszędzie dusząca woń, której powodu nikt nie mógł odgadnąć, a wkrótce potem morze zaczęło wrzeć i burzyć się, w zatoce dał się słyszeć jakiś głuchy łoskot i mnóstwo uśniętych ryb wypłynęło na powierzchnię. Wszystkie metale zmieniły kolor, przedmioty wyrobione z wosku pokryły się srebrzystym odcieniem; kolory czerwone zupełnie poczerniały. Szczególne te zjawiska nadzwyczaj zatrwożyły mieszkańców; lękano się jakiejś strasznej katastrofy, tem więcej że przez kilka uprzednich dni, powtarzały się wciąż lekkie trzęsienia ziemi. Domyślają się, że musiał to być wybuch podmorskiego wulkanu w zatoce Patras, przy ujściu której leży miasteczko Etolikon.

⁂ W Zgromadzeniu prawodawczem Stanu New-Yersey, w Ameryce, złożony został wniosek do prawa, mocą którego mąż czynnie znieważający żonę, wystawiony będzie przed pręgierzem na widok publiczny. Gdyby prawo takie zobowiązywało w Europie, iluż to mężów poniosłoby tę surową karę.

Zawiadomienia.

BADANIA PORÓWNAWCZE

W DZIEDZINIE JĘZYKA,

przystępnie streścił

Lud. Szczerbowicz-Wieczór.

1882 r.

Treść tej książki stanowią wyniki najnowszych badań porównawczych w nauce językoznawstwa, młodej jeszcze, bo stu lat nie liczącej, u nas całkiem prawie nieznanej. Badania te, dokonane przez uczonych europejskich: Boppa, Grimmów, Potta, Benfeya, Maxa Müllera, Burnoufa, Picteta, Schleichera, Kuhna, Miklosicza, Vaniczka i wielu innych, nietylko wydały mnóstwo zdumiewających i płodnych w następstwa wyników, nietylko wyświadczyły olbrzymie przysługi gramatyce, historyi, etnografii i innym umiejętnościom, ale nadto zdołały pociągnąć i zaciekawić nawet ogół światłej publiczności, wskazując i otwierając nowe drogi dochodzeń, ułatwiając poznanie mowy rodzinnej i wystawiając w nowem świetle liczne jej zjawiska i objawy, przedtem ciemne, do objaśnienia i pojęcia trudne. Dla utorowania tej nowej nauce podobnych dróg w naszem także społeczeństwie, nieobojętnem względem mowy ojczystej, autor niniejszej pracy zebrał najważniejsze i najciekawsze wyniki owych badań i zastosował je do języka polskiego, który był dla niego zawsze na pierwszym względzie. Po tej skromnej próbie nastąpią niezawodnie, w bliższej lub dalszej przyszłości, liczne dzieła innych pracowników, którzy wyprowadzą piśmiennictwo nasze ze stanu dotychczasowego zacofania w tej gałęzi i ułatwią przyszłym pokoleniom przyswojenie i tych także owoców nauki i cywilizacyi europejskiej.

Autor zapowiadanej książki przeznacza ją nietyle dla uczonych specyalistów, jak dla tych, którzy kształcą się sami lub pragną uzupełnić swe wykształcenie — dla całego niemal ogółu czytających, nie wyjmując kobiet i chciwej nauki młodzieży. Mając ten cel na względzie, piszący unikał przeładowania treści zbyt ciężką i zawiłą, pedantyczną, lub odstręczającą i suchą erudycyą; a co się tyczy formy, starał się, w miarę sił i możności, przemawiać do czytelników przystępnie i zrozumiale.

Książka wyjdzie z druku przed 1 lipca r. b. z dołączeniem spisu prenumeratorów. Cena egzemplarza wynosi: dla prenumeratorów miejscowych, w Płocku zamieszkałych, rs. 1, a dla wszystkich innych — rs: 1 kop. 20 z przesyłką.

Prenumerować można:

W Płocku: u autora, w księgarni Kempnera i w księgarni Wassermana.

W Warszawie: w Redakcyi „Tygodnika Mód" i „Przyjaciela Dzieci" (ulica Widok Nr. 3) i w księgarni M. Orgelbranda (wprost Kopernika, i w filii przy ulicy Senatorskiej N. 22).

Za rubli TYSIĄC.

Tuż pod miastem Opatowem w gubernii Radomskiej, nad samą rzeką Opatówką, jest do sprzedania GARBARNIA z całem wewnętrzem urządzeniem, składająca się z domu nowego drewnianego w jak najlepszym stanie, dwóch izb na kadzie z dębem i wapnem, z suszarni, dwóch pokoi mieszkalnych i góry. Przy niej znajduje się 259 prętów kwadratowych ziemi wyborowej na założenie ogrodu i droga do szosy prowadząca. W całej okolicy brak takiej fabryki zapewnia jej jak najlepsze powodzenie: za uczciwe przeprowadzenie interesu poręczamy. Cena oznaczona nader niska. Bliższa wiadomość w Redakcyi Tygodnika Mód i Powieści oraz Przyjaciela Dzieci, przy ulicy Widok Nr. 3 w Warszawie.

Zaproszenie do prenumeraty

na dzieło pod tytułem:

NAJLEPSZA METODA

do nauczenia się języka angielskiego **w 24 lekcyach bez nauczyciela, wydana kosztem P. v. Reussner.** — Dzieło to odznacza się dokładnem objaśnieniem wymowy każdego pojedyńczego wyrazu i całego tekstu. Treść jego stanowią najpotrzebniejsze zasady gramatyczne wraz ze słowniczkami i ćwiczeniami do nich zastosowanemi, tudzież powiastki angielskie tłomaczone zarazem na język polski.

Cena stała wynosi kop. 75.

Prenumeratorzy składający pieniądze do 1-go Maja r. b. płacą tylko kop. 60. Na przesyłkę pocztową dolicza się kop. 10.

Prenumeratę przyjmują wszystkie znaczniejsze księgarnie krajowe, tudzież Redakcye: Gazety Polskiej, Kolców i Echa.

Można także nabywać we wszystkich księgarniach dzieło p. t. **„Najlepsza Metoda do nauczenia się języka niemieckiego w 3 miesiącach bez nauczyciela"**, opracowana przez **P. v. Reussner** na sposób **Ollendorff'a** a w części **Toussaint-Langenscheidt'a**, po cenie rs. 2 kop. 75 za cały tom i kop. 60 za sam kurs niższy stanowiący odrębną całość niezależną od kursu wyższego.

Skład główny w księgarni pp. Gebethnera i Wolffa, i u autora przy ulicy Chmielnej Nr. 6 w Warszawie.

Najtańsza fabryka pończoch bez szwu

„J Ó Z E F I N Y",

ul. Długa Nr. 9 w Warszawie.

Tamże koszule, krawaty, negliże i inne drobiazgi *po cenach najniższych.*

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 17 Марта 1882 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego** Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 13, r. 1882.

LABIRYNT.

(Within The Maze.)

Przez

MISTRES H. WOOD.

(Dalszy ciąg.)

Odpowiedziała tak cicho że nie podobna było dosłyszéć czy powiedziała tak lub nie.

— Tak dłużej być nie może, świadku, zawołał niecierpliwie prezydujący; trzeba mówić tak głośno aby cię przysięgli mogli zrozumiéć, i proszę także podnieść głowę. Czegoż się wstydzisz?

Twarz Róży pokryła się silnym rumieńcem, ale podniosła natychmiast głowę i zaczęła mówić głośniej.

— Widziałem sir Adama rano, gdy strzelał do ptaków, a po południu mówiłam z nim przez kilka minut.

— Czy w tej rozmowie z sir Adamem była jaka wzmianka o panu Scott,

— Żadnej, nie myśleliśmy wcale o nim.

— W takim razie, świadku, czemuż tak śpieszyłaś się uwiadomić sir Adama że Marcin Scot jest u was.

Róża wahała się, potem się rozpłakała i łzy nie dozwoliły jej zaraz odpowiedziéć.

— Potem co później nastąpiło, może to wydawać się czemś strasznem... alo nie miałam żadnej złej myśli. Chciałam tylko powiedziéć że Marcin Scott jest u nas i rozmawia z moim stryjem; nie było w tem nic takiego coby mogło rozgniewać sir Adama?

— Nie odpowiedziałaś na moje pytanie; czemu było ci tak śpieszno uwiadomić o tem sir Adama?

Uczyniłam to bez żadnego ważniejszego powodu. Wyjeżdżając z domu w maju, sądziłam że pan Scott przestanie u nas bywać, teraz widząc że się omyliłam, uznałam za rzecz właściwą uwiadomić o tem sir Adama. Nie lubiliśmy Marcina Scott od czasu gdy tak pogrubiańsku postąpił ze mną. Sam jego widok budził we mnie przestrach.

— Przestrach? A to z jakiego powodu?

— Obawiałam się z jego strony jakiej nowej zniewagi.

— Pozwól sobie zadać pytanie, czy w takim razie nie byłoby właściwej aby pan Turner a nie sir Adam rozmówił się z Marcinem Scott?

Róża pochyliła głowę i znów płakać zaczęła, a tymczasem oskarżony odezwał się znowu:

— Gdy Marcin Scott znieważył po raz pierwszy miss Turner, prosiłem jej usilnie aby mnie uwiadomiła natychmiast gdyby powtórnie poważył się uczynić coś podobnego; żądałem także aby mi dała znać skoro tylko przyjdzie do jej stryja. Pragnąłem otoczyć miss Turner tak troskliwą opieką jak gdyby była moją siostrą.

Nakazano milczenie oskarżonemu i badano dalej miss Turner.

— Tak więc wyszłaś chcąc pomówić z sir Adamem, i Scott pobiegł za tobą. Cóż się stało dalej.

— Marcin Skott dogonił mnie w połowie drogi od domu i od sztachet przy których stał sir Andinian. Zaczął mi czynić wymówki, uskarżał się że po tak długiej nieobecności nie usłyszał ode mnie jednego przychylniejszego słowa, a w końcu zapytał czy sądzę że on to znosić będzie cierpliwie. Zanim... zanim...

— Zanim co? Czemu się wahasz?

Łzy popłynęły strumieniem z oczu biednej Róży: w głosie jej czuć było głęboką boleść. Publiczność zebrana w sali spoglądała na nią z głębokiem współczuciem, nie było jednej osoby któraby nie uczuła dla niej politowania.

— Zanim się spostrzegłam, Marcin Scott ujął mnie wpół i... i... pocałował w twarz. Wyrwałam mu się z rąk i pobiegłam schronić się pod opiekę sir Adama. Wtenczas to uchwycił fuzyę i strzelił.

— Co sir Andinian powiedział w tej chwili?

— Nie wymówił ani jednego słowa; odsunął mnie tylko ręką i strzelił. Przypominam sobie jak przez sen że spostrzegłam przy sobie Hewitt'a, potem zaćmiło mi się w oczach i nic już nie widziałam. W pierwszej chwili nie wiedziałam co się stało, i dopiero spostrzegłszy Hewitt'a klęczącego przy Marcinie Scott, domyśliłam się wszystkiego.

— Cóż następnie uczynił oskarżony.

— Położył strzelbę na ławce i poszedł do leżącego na ziemi pana Scott, stryj i stryjenka przybiegli także, i.. i już wszystko.

Zakryła twarz rękami i zaczęła płakać tak gwałtownie że trzeba się było obawiać aby nie zachorowała na serce. Prawdopodobnie litując się nad nią, zadano jej już tylko parę małoznaczących pytań. Oświadczyła że wyznała wszystko co wiedziała o tej nieszczęsnej sprawie, i korzystając z udzielonego jej pozwolenia oddaliła się, pozostawiając w sali bardzo korzystne wrażenie, wywołane tak jej pięknością jak pełnem skromności ułożeniem.

Przywołano następnie młodego człowieka nazwiskiem Wharton, przyjaciela zabitego, który zeznał: że Marcin Scott wspominał w jego obecności o pogróżkach sir Adama Andinian, i dodał iż nie podpada wątpliwości że Scott był przekonanym że pan Andinian dotrzyma w danym razie słowa; być jednak może iż po kilku tygodniach wrażenie to zatarło się w jego umyśle.

Był to ostatni świadek przywołany tak przez prokuratora jak przez obrońcę; przyszła kolej na przysięgłych.

Sędzia prezydujący przedstawił rzecz całą w krótkości i spokojnie, ale nieprzychylnie dla oskarżonego. Przysięgli wrocili do sali po naradzie trwającej może przez kwadrans, i ogłosili swój werdykt: Morderstwo rozmyślne, ale z zaleceniem zwrócenia uwagi na okoliczności łagodzące.

Prezydujący zapytał wtenczas więźnia, czy może coś nadmienić przeciwko wyrokowi śmierci który ma być wydanym na niego.

Więzień odpowiedział grzecznie i spokojnie, że to jedynie powiedziéć może, iż według swego przekonania spełnił tylko swój obowiązek; że Marcin Scott naraził się na śmierć dobrowolnie, i że nakoniec gdyby wolno było hultajom znieważać bezkarnie młode, dobrze wychowane i niewinne dziewczęta, lepiej byłoby od razu cofnąć się w czasy barbarzyństwa. Na co prezydujący odrzekł że gdyby wolno było zabijać bliźnich z zimną krwią i dla błahych powodów, dowodziłoby to że społeczność jest już pogrążoną w barbarzyństwie, a więc nie potrzebuje do niego wracać.

Przed zakończeniem sprawy zaszedł jeszcze wypadek, który sprawił na obecnych silne wrażenie. Zaledwie sędzia prezydujący nakrył głowę, gdy weszła kobieta wysokiego wzrostu, z postawą dumną, i stanąwszy przed sądem prosiła o pozwolenie odezwania się przeciwko wyrokowi. Tą kobietą była mistress Andinian; odepchnęła woźnych którzy ją chcieli wyprowadzić, i z ogólnem zadziwieniem otrzymała żądane pozwolenie.

Powiedziała że syn jej odziedziczył po niej charakter niepohamowany. Jeźli go coś bardzo obrzyło lub rozjątrzyło (co jednak zdarzało się rzadko), gniew jego dochodził do szaleństwa; i zostawał rzeczywiście pod wpływem szału przez kilka minut, to jest dopóki nie ochłonął z gniewu. Karać go śmiercią za czyn popełniony w takim stanie nieodpowiedzialności, byłoby także morderstwem.

Powiedziała tylko te kilka słów bez uniesienia, spokojnie, z uszanowaniem, wpatrując się w prezydującego, potem ukłoniła się i wyszła. Prezydujący pochylił także poważnie głowę i ogłosił wyrok.

— Kara śmierci! Jednak z przedstawieniem do ułaskawienia, stosownie do zalecenia wydanego przez przysięgłych.

Dowiedziano się później że sędzia prezydujący starał się usilnie o złagodzenie kary, i już ze sposobu wyrażenia się jego gdy ogłaszał wyrok, domyślano się że kara będzie złagodzoną.

W tydzień później, stanowczy wyrok był już wszystkim znany; kara śmierci została zamienioną na dożywotnie ciężkie roboty.

Być skazanym na całe życie do ciężkich robót! Jakaż to straszna kara dla człowieka w kwiecie wieku, i w położeniu Adama Andinian.

V.

Cierpienia przewyższające siły.

Łucya Cleeve leżała na sofce przy kominku; na wychudłej twarzy znać było ślady cierpień fizycznych i moralnych. W jej wielkich ciemnych oczach malował się głęboki smutek, a twarzyczka nie ożywiona najlżejszym nawet rumieńcem, była prawie tak biała jak batystowy negliż który miała na sobie.

Mistress Cleeve siedząca naprzeciwko niej czytała książkę. Miss Blake haftowała na białym atłasie bukiet z różnobarwnych kwiatów.

Mistress Cleeve podniosła oczy przewracając kartę i zdawało jej się że Łucya zadrżała.

— Łucyo, drogie moje dziecię, czy tylko nie czujesz znów dreszczy.

— Nie... nie sądzę, odpowiedziała z pewnem wahaniem; tylko ogień przygasł.

Mistress Cleeve dorzuciła drewek na kominek, potem przyniosła ciepły szal i okryła nim Łucyę; a jednak sierpniowe słońce ogrzewało ziemię i powietrze było bardzo gorące.

Trudno nawet wyobrazić sobie jak ciężki i bolesny cios zadano Łucyi, rozłączając ją z Karolem Andinian; smutek jej był głęboki ale cichy, nie zdradzała niczem boleści zakrwawiającej jej serce. Rodzice cieszyli się niewymownie że Łucya jest tak rozsądną i że zapomniała tak prędko o Ka-

rolu. Miss Blake była przekonaną że nie kochała go nigdy, że ta miłość była tylko dla Łucyi rodzajem zabawki. Przez cały czerwiec miss Cleeve bywała z rodzicami wszędzie gdzie tylko chcieli ją zaprowadzić: na spacerach, balach, piknikach, gdzie śmiała się i rozmawiała jak wszyscy, i niepodobna się było domyśléć że miłość nieszczęśliwa, miłość bez nadziei tak wielkie i dotkliwe przynosiła jej cierpienia. Wkrótce miała stać się ofiarą innych jeszcze cierpień, równie trudnych do wyleczenia.

Łucya już od pewnego czasu nie zdawała się zupełnie zdrową; najprzód straciła apetyt, a następnie siły, tak dalece że wszystko ją męczyło, a w lipcu była już widocznie tak cierpiącą że musiano przywołać doktora, który oświadczył że jej grozi długa i niebezpieczna choroba. Przepowiednia jego spełniła się wkrótce; po nader silnych dreszczach przychodzących peryodycznie, następowała niemniej silna gorączka, a po niej zupełny upadek sił. Według zdania lekarza, powodem choroby musiało być zaziębienie; wnosił że pewnie miss Cleeve, będąc na jakimś pikniku, usiadła na wilgotnej trawie. Łucya okazała się w chorobie równie cierpliwą i posłuszną jak zwykle; leżała w łóżku gdy tego wymagano, wstawała skoro tego żądano, połykała, nie wzdragając się, wszelkie przepisane jej lekarstwa, a nawet próbowała jeść to co jej przynoszono. W końcu doktor oznajmił że gorączka przeszła, i pozwolił aby miss Cleeve wychodziła co dzień na parę godzin ze swego pokoju. Łucya zastosowała się i do tego, nie czuła się jednak wcale silniejszą i zdrowszą; często jeszcze miewała dreszcze, a niekiedy gorączkowy rumieniec pokrywał jej bladą i wychudłą twarzyczkę. Doktor był zmuszonym wyznać że chora nieprędko jeszcze odzyska zdrowie i siły.

Trudno przypuścić aby pułkownik lub mistress Cleeve wspominali chętnie w obecności córki o Karolu Andinian, a jednak okoliczności zmusiły ich do tego.

Gdy przy końcu czerwca rozbiegła się wieść o zabójstwie popełnionem przez Adama Andinian, wszyscy o tem tylko mówili. Każdy z odwiedzających czynił swoje uwagi nad tym dziwnym wypadkiem i to w obecności Łucyi, której się zdawało że rozmyślnie powtarzano to przy niej. Zbrodnia popełniona bez żadnego powodu (jak w pierwszej chwili sądzono, i dziwny traf że została spełnioną właśnie w dniu, w którym Adam Andinian został baronetem. Wyjazd samej tylko mistress Andinian do Foxwood, i ta myśl tak dręcząca dla rodziny sir Adama, że gdyby był sam pojechał nie sprowadziłby na swą głowę tak wielkiego nieszczęścia; przybycie porucznika Andinian do domu, w którym go spotkała tak straszna wiadomość, wszystko to dawało sposobność do rozlicznych uwag, których Łucya musiała słuchać, a łatwo pojąć jak zgubny wpływ wywierało to na jej zdrowie.

Następnie znów, zeznanie świadków i wyrok dostarczały wątku do rozmowy, a nie pominięto także jednoczesnego z temi wypadkami awansu porucznika Andinian, i tym sposobem pułkownik i mistress Cleeve nazwyczaili się mówić w obecności córki o sprawie Andinian, tak spokojnie, jakby o rzeczy nie obchodzącej ją wcale.

Teraz musimy powiedziéć kilka słów o miss Blake.

Że zdrada, której (według jej przekonania), dopuścił się względem niej porucznik Andinian, była dla miss Blake strasznym i bolesnym ciosem, tego domyśléć się łatwo. Była przekonaną że się w niej kochał, i że byłby się z nią ożenił gdyby Łucya nie stanęła jej na drodze, i to przekonanie rozbudziło w jej sercu jakiś gorzki żal do biednej miss Cleeve, kiedy przeciwnie, skoro tylko minęło pierwsze wrażenie, uniewinniała zupełnie Karola. Wszakże zwykle tak bywa na świecie, że kobieta w podobnym razie zwraca swą nienawiść ku rywalce, a znajduje tysiące powodów uprawiedliwiających niewiernego.

Miss Blake posiadała bardzo drażliwe sumienie; byłoby to wielkim przymiotem w osobie obdarzonej charakterem słodkim i tkliwym, w niej zaś przerodziło się w zbytnią surowość. W obecnej chwili nie pozostało jej nic prócz słabej iskierki nadziei (ale która nie opuszczała jej ani na chwilę) że Karol Andinian wróci jej kiedyś swe serce. Gdyby spełniły się jej nadzieje, gdyby została mistress Andinian, charakter miss Blake mógłby uledz korzystnej zmianie, mogłoby się w nim rozwinąć więcej dobroci i serdeczności, obecnie zaś jakkolwiek była, a przynajmniej starała się być sprawiedliwą, nie odznaczała się bynajmniej temi przymiotami.

Drażliwe sumienie wzbraniało miss Blake żywić jakieś złe lub niechętne uczucia dla Łucyi; strzegła się też tego usilnie, odpychała je od siebie, i starała się znosić cierpliwie swój smutek, jako krzyż którym obarczyło ją przeznaczenie. Było to dobrem do pewnego stopnia, ale na nieszczęście niepokoiło ją nieposkromione, wzmagające się z każdym dniem pragnienie, zapełnienia bolesnej próżni serca. Każda prawie kobieta, której uczucia zostały zawiedzione, doznaje podobnego pragnienia, i te jedynie które przeszły tę ciężką próbę potrafią zrozumiéć podobne usposobienie. Jeżli serce było całkiem zajęte przez jakiś ukochany przedmiot, i biło żywiej na jego widok lub nawet samo tylko o nim wspomnienie; jeżli cieszyło się co dzień jego obecnością, a w nocy błogie sny przedstawiały mu obraz jutrzejszego widzenia; jeźli następnie ten przedmiot jego miłości zostanie mu wydarty gwałtem i na zawsze, pozostawi po sobie próżnię gorszą i boleśniejszą nawet od śmierci. Stracone wszystkie nadzieje, życie nie ma już celu; gmach szczęścia rozsypał się nagle w gruzy, pozostawiając po sobie głęboką przepaść w której nie dostrzegamy nic prócz cierpienia! Podobny zawód doprowadziłby wiele kobiet do obłąkania, gdyby nie znalazły jakiegoś zajęcia pochłaniającego wszystkie siły ich umysłu. Miss Blake znalazła je w dewocyi.

Pastor Blake zachorował wkrótce po owym wieczorze, w którym widzieliśmy Karola Andinian spacerującego z Łucyą po ogrodzie należącym do plebanii. Nie była to choroba niebezpieczna, ale stanowiła groźny symptomat na przyszłość. Doktorzy nakazali panu Blake odsunięcie się na czas jakiś od zwykłych zajęć i zmianę powietrza; zastosował się do ich rady skoro tylko mógł powstać z łóżka, a odjeżdżając zostawił kościół i parafię pod opieką wikarego który był przy nim już od kilku lat, oddając mu do pomocy młodego duchownego, Gwidona Cattacomb, którego w tym celu sprowadził, nie znając go wcale. Dziwnym jakimś przypadkiem stary wikaryusz zachorował także ciężko zaraz po wyjeździe pana Blake, i nietylko że nie mógł spełniać obowiązków swego powołania, ale był zmuszony wyjechać dla poratowania zdrowia. Tym sposobem kościół pozostał pod wyłączną opieką pana Cattacomb, i młody ten duchowny uniesiony zbytnią gorliwością, zaczął natychmiast, bez żadnego upoważnienia, zaprowadzać różne zmiany w nabożeństwie.

Dotąd nabożeństwo odbywało się poważnie z prostotą; chór, złożony z dorosłych mężczyzn i młodych chłopców, był bardzo dobry, słowem wszystko szło przyzwoicie według stałych prawideł, a kazania pastora Blake i starego wikaryusza podobały się ogólnie. Można sobie wyobrazić zdumienie wiernych, gdy pan Cattacomb, korzystając z pozostawionej mu swobody, zaczął zapuszczać się zaraz w pierwszą niedzielę, w jakieś, jak się wyrażano, *majaczenia*. Były to rzeczywiście majaczenia, nietylko że niepotrzebne, ale nawet przynoszące ujmę kościołowi protestanckiemu. Wierni zwrócili na to uwagę młodego pastora, ale nie sprawiło to na nim żadnego wrażenia. Posiadał władzę i chciał z niej korzystać stosownie do swego przekonania.

Nie będziemy rozwodzić się długo nad skutkami tych zmian w parafii pana Blake, dosyć będzie powiedziéć, że wielebny Gwidon Cattacomb, którego kazania zasadzały się na szumnej i niezrozumiałej deklamacyi, wypłoszył wkrótce wszystkich prawie z kościoła. Jeźli jednak znaczna część parafian przestała bywać na nabożeństwach, to zastąpiły ją tłumy młodych dziewcząt, które uczęszczały na nie pilnie. Wielebny Gwidon Cattacomb był pasterzem, a trzódka jego składająca się prawie wyłącznie z młodych, pełnych zapału a niedoświadczonych dziewczątek, szła za nim posłusznie. Jakie tam odprawiało się nabożeństwo, tego nikt nie umiałby powiedziéć, ale to pewna że w końcu zaczęto się wyśmiewać z biorących w nim udział. „Pan Cattacomb wraz ze swym ogonem”, wyrażano się zwykle, a tym ogonem były młode panienki uczęszczające na różne, wymyślone przez niego nabożeństwa.

Żadna jednak z nich nie okazywała się tak gorliwą jak miss Blake; dzięki Gwidonowi Cattacomb znalazła sposób zapełnienia próżni serca odrzuconego przez Karola Andinian. Miss Blake chodziła do kościoła dziesięć razy na dzień, jeżeli odbywało się w nim dziesięć nabożeństw, odprawianych przez pana Cattacomb, lub też jego przyjaciela i pomocnika, wielebnego Damona Puff.

Pomimo to miss Blake nie wyrzekła się zupełnie świata, i w chwilach wolnych od modlitwy odwiedzała znajomych, ale też nie pozostawało jej już prawie chwilki czasu na jakieś inne zajęcia; było to więc rzeczą niezwykłą zastać ją z igłą w ręku, jak w obecnej chwili. Haftowała jedwabiami pokrycie na poduszkę przeznaczoną pod wielebne kolana pana Cattacomb, gdy modlił się w domu.

— Nie wiem czy tak będzie dobrze, zawołała, przyglądając się listkowi który zaczęła wyszywać. Wszak prawda, mistress Cleeve, że będzie daleko ładniej, gdy nadam listkom tej roży świeżą zieloną barwę?

— Nie zasięgaj pod tym względem mej rady, Tereso.

W głosie mistress Cleeve, gdy to mówiła, czuć było niezadowolnienie; tak jej jak pułkownikowi sprawiało to prawdziwą przykrość że miss Blake popierała z takim zapałem zmiany wprowadzone przez pana Cattacomb. Ławka ich w parafialnym kościele stała teraz zawsze pusta, gdyż bywali w katedralnym kościele. Pułkownik już kilka razy strofował miss Blake, za jej, jak się wyrażał, szaleństwo, i przestrzegał ją że wystawia się na śmiech i uszczypliwe żarty; łatwo się więc domyśléć że mistress Cleeve, wiedząca na jaki cel ma służyć poduszka, nie mogła na nią patrzyć przychylnem okiem.

(*D. c. n.*)

STRASZNA NOC.

PRZEZ

K. ROBERT.

(Dalszy ciąg.)

Jakby na przekor zaleceniu pani Laforêt, Albertyna otworzyła okno. Czarne chmury zaległy firmament; nieustanne błyskawice przerzynały szczyty gór. Chcąc odetchnąć, nieco ciężkiem wprawdzie powietrzem, ale nasycona upajającą wonią krzewów i kwiatów, wsparła się o balustradę peronu, i stała tak niby zamyślona, ale rzeczywiście o niczem prawie nie myśląc. Nie miała zwyczaju zajmować się kwiatami ogrodowemi, ale obecnie miała tam prześliczną tuberozę osypaną mnóstwem rozwijających się pączków, bała się więc żeby wiatr ich nie postrącał i przemagając zwykłe swoje lenistwo, postanowiła zejść do ogrodu i przenieść ją do pokoju.

Zeszła więc z peronu, zwracając się do klombu w którym stała tuberoza, gdy w tem z po za muru otaczającego ogród, doszły ją smętne harmonijne dźwięki fletu,—a że nigdy nie słyszała tu nic prócz fujarek pastuszków, więc muzyka ta wydała jej się zachwycającą. Słuchała z zajęciem co raz więcej zbliżając się do muru aby lepiej rozróżniać dźwięki, grajek stojący z drugiej strony muru oddalał się coraz więcej. Albertyna będąca w ogrodzie mimowiednie szła za nim, tajemnicza muzyka pociągała ją za sobą.

Tak idąc każde ze swojej strony, Albertyna i flecista doszli w przeciwny róg ogrodu, do miejsca w którem w murze znajdowała się furtka. Tu muzyka ucichła, a natomiast dał się słyszeć ostry skrzyp otwierającego się zardzewiałego zamku, i w tejże chwili silna dłoń pochwyciła jej rękę.

Zimny dreszcz ją przebiegł—krzyknęła.

Ochłonąwszy z pierwszego przerażenia, w napastniku poznała pana Malvoisier—nie uspokoiło ją to bynajmniej, ale z obawy aby i ten obcy prawie sąsiad nie śmiał się z jej pensyonarskiej bojaźliwości, jak to czyniły nieraz osoby domowe, zapanowała nad sobą i rzekła imponującym tonem.

— Panie Malvoisier, jak mam tłomaczyć to niestosowne jego postępowanie i wchodzenie do naszego ogrodu o tak niestosownej porze?

— Nie jestem panem Malvoisier, odrzekł nie puszczając jej ręki, jestem Bartol, ale cóż znaczy nazwisko, skoro kocham cię, Albertyno, szaloną niepohamowaną miłością... Taka miłość druzgocze wszelkie przeszkody—musisz być moją!... chodź ze mną!

— Co za szaleństwo!... powtarzasz mi pan ową niedokończoną historyjkę!

— Bo są to rzeczywiste dzieje mojego serca Albertyno... ty dopowiesz koniec. Jestem awanturnikiem, bandytą, ale kocham cię i uwielbiam... jeźli miłość tak wielka wzrusza twe serce jeźli ją podzielasz — uchodź ze mną!... w przeciwnym razie porwę cię gwałtem!

Odskoczyła w tył, chcąc wyrwać rękę którą trzymał ciągle — daremnie zaczęła krzyczeć ale przestrach głos jej tłumił, a szum gwałtownego wichru jaki się zerwał w tej chwili, zagłuszył go zupełnie. Bartol skinął. Wyskoczyło dwóch ludzi ukrytych za murem; jeden przytrzymał jej ręce, drugi chustką zawiązał usta poczem ponieśli ją do nadjeżdżającego powozu.

Bartol wskoczył do niego prędko i zajął miejsce obok na wpół żywej Albertyny, poczem powóz ruszył galopem.

II.

W drodze.

Powóz pędził szybko po stromnej drodze; słychać było odgłos kół uderzających o kamienie. Albertyna mogła rozróżniać nieco wśród ciemności otaczające ją przedmioty. Obok niej, w głębi powozu, siedział bandyta; na przedniem siedzeniu dwóch ludzi dopomagających do jej porwania; drugi zapewnie powoził — obaj byli zamaskowani.

Powóz toczył się drogą wiodącą do Genewy; była stroma i nierowna, wijąca się wśród gór. Biedna Albertyna drżała jak liść osiny, przejęta niewysłowionem przerażeniem; zimny pot występował na jej czoło, czuła się bliską zemdlenia. Bojąc się utracić przytomność aby nie pogorszyć jeszcze swego położenia, gwałtem roztwierała oczy, rozpaczliwie ręką pocierała czoło. Po upływie pół godziny, zdjęto chustkę krępującą jej usta; w tej chwili rzuciła się ku drzwiczkom powozu, rozpaczliwym krzykiem przyzywając pomocy.

— Proszę zachować się spokojnie, rzekł Bartol, i nie męczyć się daremnym krzykiem; nie trudno się domyśléć iż jeźli zdjąłem chustkę zawiązującą usta to dla tego iż byłem aż nadto pewny że tu nikt krzyku nie usłyszy!

Albertyna krzyknęła jeszcze kilka razy, poczem bezsilna opadła na siedzenie.

— Już dziesiąta, rzekł znów bandyta; pustka i cisza zaległy do koła, i można być pewnym że na całej drodze nikt się nie pojawi aż do północy, to jest do chwili przyjazdu dyliżansu jadącego z Genewy.

— A wiem że pan doskonale wiesz *o której godzinie przyjeżdża ten dyliżans*, rzekła uszczypliwie.

To powiedziawszy, spojrzała na niego, chcąc wyczytać z jego twarzy wrażenie wywołane tym docinkiem, ale był zupełnie na to obojętny i ani słówka nie odpowiedział.

Okropne było położenie biednej dziewczyny. Znajdowała się w dzikiej i pustej miejscowości; nigdzie ani śladu jakiegoś pomieszkania, w mocy bandyty który miał całą noc przed sobą zanim w domu dostrzegą jej zniknięcie i rozpoczną poszukiwania. Siedzący na przodzie zamaskowany pomocnik Bartola, był prócz tego otulony wielkim płaszczem, tyle więc tylko widziéć mogła że był wysokiego wzrostu; siedzący na koźle zdawał się bardzo barczysty wybrał więc pewnie najśmielszych i najsilniejszych ze swej bandy, pewnie tych dwóch co razem z nim napadli na dyliżans genewski, i dwóch podróżnych zabili, innych zrabowali. Tak więc sama ich obecność zwiększała zgrozę jej położenia

Co do samego herszta, nie mogła nawet łudzić się że potrafi go wzruszyć i skłonić aby jej wrócił wolność, raz dla tego że był w niej zakochany, a powtóre z obawy surowej kary za jej porwanie.

Przemyśliwając nad tem gorzkiemi zalewała się łzami; czuła teraz całą wartość troskliwej opieki ciotki i wuja, cały powab owego ślicznego domu nad brzegami jeziora, i rozpaczliwie wyciągała ręce do tego utraconego raju, do którego nigdy już może nie wróci.

Burza zbierająca się od dawna, wybuchnęła teraz z całą gwałtownością; uderzenia piorunów tak przykre powodujące wstrząśnienia w zwykłych nawet okolicznościach życia, śmiertelną trwogą przejmowały Albertynę.

Czarna noc zaległa do koła; chwilami błyskawice znaczyły na ziemi szerokie martwo-białe smugi, na których odbijające się cienie drzew czarne tworzyły punkta, nadając całej miejscowości postać cmentarza. Grzmoty tak silnie i przerażająco rozlegające się wśród gór, zdawały się za każdem odezwaniem ciskać śmiertelne gromy po nad głowami; drzewa trzeszczały grożąc złamaniem; grunt jakby chwiał się pod nogami.

W takich chwilach gdy niebo zdaje się grozić nam zagubą, instynktownie upatrujemy koło siebie jakiej ukochanej istoty, aby szukać schronienia w jej objęciach lub umierać z nią razem... lecz gdy biedna Albertyna machinalnie zwróciła się ku towarzyszowi podróży, widziała przed sobą najstraszniejszego wroga i złoczyńcę, i odsuwała się ze wstrętem.

Po obu stronach drogi widziała czarne otchłanie, załomy skał, w których szalejący wicher wydawał płaczliwe odgłosy i ponure jęki. Za każdem uderzeniem piorunu, snopy iskier tryskały ze szczytów gór granitowych, długie ogniste smugi przesuwały się po niebie; na drodze nieustanne podnosiły się iskry, wywołane tarciem o granit kół otoczonych żelaznemi obręczami... Mogło się zdawać że to podróż i droga wiodąca wprost do piekła.

Bartol milczał i siedział nieruchomy; ręce skrzyżował na piersiach; towarzysz jego zdawał się drzemać spokojnie, nie troszcząc się o burzę i huk gromów. Do rozpaczy jaką budziło w Albertynie straszne jej położenie, łączyło się innego rodzaju przerażenie, wywołane wrodzonym nam instynktem zachowawczym — lękała się wpaść w którąś z przydrożnych przepaści. Od kilku chwil powóz podlegał nader silnym wstrząśnieniom; pudło trzeszczało, żelaztwo skrzypiało, koła zdawały się pękać.

Droga w tej miejscowości ciągnie się na pochyłości gór, kręci się, wije, tu i owdzie opuszcza się w gwałtownych spadkach. Nieustannie przesuwające się błyskawice wykazywały te straszne nierówności gruntu. Z jednej strony szerokie rozpadliny i wyrwy, ciągnące się od szczytu aż do niezgłębionych otchłani z drugiej strony prostopadła, gdzie niegdzie u góry pochylająca się góra, jakby zamierzała upaść i wszystko co napotka zgnieść swoim ciężarem

Powóz trząsł i podrzucał coraz gwałtowniej, żelaztwo skrzypiało coraz przeraźliwiej; słyszała jak powożący biczem podniecał konie, które zrywając się pociągały powóz ku przepaści. Za każdem silniejszem wstrząśnieniem nieszczęśliwa Albertyna nie była wstanie powstrzymać okrzyku przerażenia. Nareszcie zdawało się że burza zaczyna się nieco uspakajać i jednocześnie droga stawała się mniej stromą i urwistą. Przycisnęła ręką gwałtownie bijące serce; odetchnęła nieco swobodniej.

Wtem rozległ się przerażający trzask; powóz został gwałtownie wstrząśnięty i jakby zarył się w ziemię; Albertyna uczuła jakby gwałtowne ude-

rzenie rzucające ją w przestrzeń... Potem straciła przytomność.

Przyszedłszy nareszcie do siebie, zobaczyła że leży na murawie, czuła że żyje i złożywszy ręce wzniosła je ku niebu, a usta wyszeptały dziękczynną modlitwę. Nareszcie podniosła się i do koła powiodła wzrokiem. Wszystkie otaczające przedmioty przedstawiały jej się jakby czarne szkice wyrysowane w powietrzu. Z jednej strony, tuż obok, wielki rozłożysty dąb, z którego liści i gałązek krople spadały na jej czoło; z drugiej stał nieruchomie Bartol, a naprzeciw niego dwóch bandytów naprawiających coś około przechylonego powozu. W tej chwili w umyśle Albertyny powstała myśl ratowania się ucieczką, ale widać Bartol odgadł ją w tej chwili gdyż pochwycił ją za rękę tak silnie jak w ogrodzie.

Skinął na bandytów, jeden pochwycił za uzdę i skierował konie i powóz ku drodze, probując czy będzie mógł dalszą odbyć drogę. Bartol szedł zwolna za powozem, nie puszczając ręki Albertyny, która chcąc nie chcąc musiała iść obok niego. Wtem zatrzymał się nagle i gwizdnął; bandyci opuścili natychmiast powóz i pobiegli do niego. Wskazał ręką na lewo; odpowiedzieli skinieniem głowy, i zaraz zwrócili się ku ciasnemu wąwozowi ciągnącemu się wśród gór, który zasłaniały gęste krzaki. Rozchylając rękami gałęzie, zdołali wprowadzić powóz — Bartol pociągnął tam za sobą Albertynę.

Błyskawice pojawiające się jeszcze od czasu do czasu, rozjaśniały chwilami przestrzeń; Bartol głęboko naprzód wzrok zapuścił. Nagle zwrócił się do towarzyszy, i rzekł półgłosem:

— Patrzcie, przy blasku błyskawicy można ich dojrzeć wyraźnie.

— A tak, odrzekł jeden, raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć bagnetów.

— Czy mamy amunicyę?

— Hum!... ledwie kilka naboi... i nie wiele prochu.

— A broń?

— Mamy pistolety w pudle powozu.

— I żadnej innej broni?

— Żadnej.

— Kroć-sto-tysięcy!... niepodobna napaść na nich... więc usuńmy się, niech przejdą.

— Już nadciągają... teraz widać ich doskonale... Żandarmi konni z Jura... druga kompania...

Posłyszawszy to, Albertyna zadrżała z radości, mimowolnie klasnęła w dłonie, wołając: żandarmi!

— Czy raczysz pani powiedzieć mi, rzekł zimno Bartol, dla czego spotkanie żandarmów tak wielką przejmuje ją radością.

— Jestem ocalona! zawołała wznosząc ręce ku niebu.

— Lepiej proś pani Boga, odrzekł, aby ci stróże bezpieczeństwa publicznego nie spostrzegli nas, bo zostałabyś razem z nami pojmana i wtrącona do więzienia — gdzieby ci pewnie gorzej było jak u mnie.

— Co! ja miałabym zostać uwięziona!... powiedziałabym zaraz żeście mnie porwali gwałtem.

— Bah! nasze kobiety zawsze tak mówią — ale nikt im nie wierzy.

— *Wasze kobiety!* powtórzyła z niewymownem oburzeniem.

— A no tak, dokończył, w chęci uwolnienia się od sprawy i więzienia

— Ależ pan sam będziesz musiał potwierdzić prawdę słów moich...

— I co jeszcze?... abym i tak niedobrą sprawę swoją pogorszył jeszcze... porwanie małoletniej... to ciężkie przestępstwo!...

— A! to okropne!... to można oszaleć! .. zawołała załamując ręce.

— Aby uniknąć okropności, nie mów pani nic i zachowaj się jak najciszej... już co raz wyraźniej słychać tentent koni... jeźli zdradzimy się czemśkolwiek, powloką nas wszystkich do więzienia w Genewie.

— Mnie do więzienia!... mnie....

— I będziesz pani trzymana w zupełnem odosobnieniu... i dopokąd inkwizycya nie zostanie przeprowadzoną, nie wolno pani będzie uciekać się do jakiejbądź protekcyi i opieki.

Zdjęta niewypowiedzianem przerażeniem, zachwiała się i padła na ziemię.

Co raz wyraźniej słychać było regularny tentent koni, do którego teraz łączył się szczęk broni... Żandarmi byli w przeważającej sile—sześciu przeciw trzem źle uzbrojonym bandytom. Jeźli więc zdradzą swoją obecność, zostaną natychmiast aresztowani. Biedna Albertyna widziała się już pojmaną i jednym z bandytami skrępowaną łańcuchem, i wtrąconą do więzienia a następnie stawioną z nimi przed sądem karnym, w obec żądnej skandalów publiczności, czuła już naprzód straszne męczarnie upokorzenia i wstydu.

Co już przecierpiała dotąd, niczem było w obec tego co cierpiała w tej chwili.

III.

Nocleg w gospodzie pod „chytrym lisem".

W czas jakiś po zniknięciu żandarmów na zakręcie drogi, bandyci wyszli ze swego ukrycia. Podwładni herszta prowadzili powóz, on sam, chcąc widać usprawiedliwić pogłoski przyznające mu pewną znajomość świata, zbliżył się do Albertyny podając jej rękę—odtrąciła ją ze wstrętem i szła sama chwiejąc się na nogach.

Teraz zaczęła poważnie zastanawiać się nad swojem położeniem, w skutku czego postanowiła przyzwać na pomoc całą swoją odwagę i moc duszy, nie płakać i nie okazywać miotającego nią przerażenia, wnosząc niebezzasadnie iż kobieta mężna i pewna siebie, więcej potrafi zaimponować hersztowi zbójców niż słaba i zapłakana, jak ją nieraz nazywano, pensyonarka.

Nagle wynurzyła się z ciemności olbrzymia biała massa, jakby zawieszona na grzbiecie góry; Albertyna poznała teraz miejscowość w której się znajdowali. Ta olbrzymia massa, był to fort l'Ecluse, wznoszący się po nad szczyty gór, zdających się pełzać u stóp jego. Fort ten wskazywał iż byli teraz o dziesięć mil francuzkich (25 na stopień) oddaleni od Nantua, o cztery tylko mile od Genewy.

Za zbliżeniem się do fortu, dało się słyszeć nader głośne wrzenie podziemne; był to silny szum wód Rodanu, spadających w tem miejscu w otchłań pomiędzy dwiema granitowemi skałami, a dotąd nikt nie zdołał wykryć co się tam z niemi dzieje i czy wypływają gdzieś daleko aby znów toczyć swe fale na powierzchni ziemi.

Albertyna przypomniała sobie, że zaprzeszłego roku zwiedzała tę ciekawą miejscowość z wujem i z ciotką, którzy przybyli tu z nią aby poznała jedną z *największych naturalnych osobliwości*. Bawiła się tu wówczas wesoło, zbierała kwiatki, nuciła sobie ulubione piosenki. To wspomnienie szczęśliwych minionych dni, rozrzewniło ją bardzo; w oczach jej zabłysły łzy, i po raz to pierwszy tej nocy, nie płakała z oburzenia lub rozpaczy.

Gdy minęli już fort l'Ecluse, ukazała się boczna drożyna, a Bartol gwizdnął na prowadzących powóz i gdy się zbliżyli rzekł tylko:

— Do naszej gospody.

Bandyci skręcili w boczną drogę; gdy Albertyna weszła na nią z Bartolem, ujrzała o kilkanaście kroków małe światełko drżące wśród liści, a w miarę zbliżania się coraz wyraźniej rysował się mały domek ściśnięty dwiema górami. Zrozumiała więc iż Bartol dla tego nie wsiadł z nią do powozu, że postanowił tu nie przepędzić.

Weszli na podwórko gospody „Pod chytrym lisem". Była to nędzna pochylająca się chałupa, połatana i kryta słomą, rudera w której nawet zwierzętom byłoby niewygodnie. A samo już światełko błyszczące o tak późnej nocnej godzinie, dowodziło że schodzą się tu nocni włóczęgi, co naturalnie wcale jej nie zalecało.

Weszli do dużej, nizkiej izby, stanowiącej pierwsze piętro; jedyne jej oświetlenie stanowiła żelazna lampka zawieszona u sufitu, której odbłyski padające na gołe zakopcone ściany, wykazywały ich brud i brzydotę. Stojące do koła czarne, nadpruchniałe ławy, a przed niemi długie, brudne nożami ponakrawane stoły, świadczyły że liczne pokolenia pijaków zasiadały przy nich. Podłoga z nadgniłych pozapadanych desek, pooddzielanych wielkiemi szparami pełnemi odwiecznych śmieci; kupy najrozmaitszych nieczystości nagromadzone po kątach, przejmowały wstrętem i odrazą. Znać było że lata składały się na nie. Na półkach porozstawiane były gliniane miski i talerze, dalej chleb i solone mięsiwa tuż obok zbutwiałych skórzanych zaprzęgów; powietrze przesycone było wyziewami z tłuszczu płonącego w lampie, z gorzałki i innych trunków.

Jednakże wstręt, jaki budziła łotrowska jaskinia, w przyzwyczajonej do zbytku i wykwintu Albertynie, malał obok oburzenia i gniewu, jakim przejmowało ją zuchwalstwo złoczyńcy, który poważył się tu ją sprowadzić. Uzbroiwszy się w odwagę, cofnęła się o kilka kroków, i stanąwszy na progu, rzekła dumnie podnosząc głowę:

— Po wyznaniu jakie ośmieliłeś się pan mi uczynić, nie chcę przebyć nocy pod jednym z nim dachem... wolę stokroć rzucić się w którąś z otaczających nas otchłani... Jeźli więc postanowiłeś pan trzymać mnie tu do jutra, to sam ztąd wyjść musisz.

— Bądź spokojna, Albertyno, nie po to cię porwałem aby sprawiać ci przykrość w drobnych rzeczach sprzeciwiających się twej woli.

(*D. c. n.*)

Opis do N-ru 13.

N. 1—2. Sukienki dla dzieci. Opis w N-rze 12.

N. 3. Sukienka princesse z pelerynowym kołnierzem, dla dziewczynki lat 7—10.

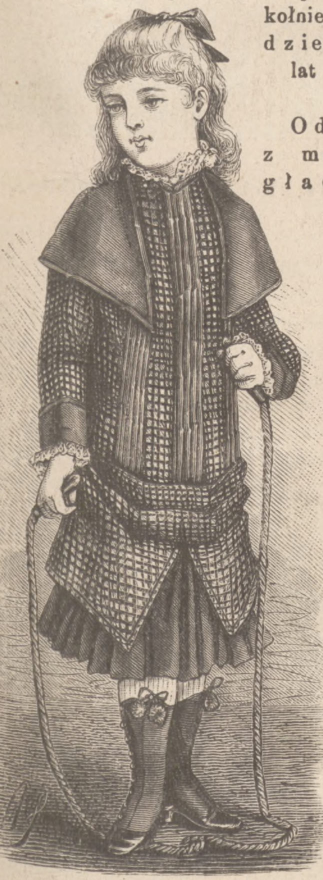
Odrobiona z materyału gładkiego i w kratkę formą princesse, zapinana z tyłu ma u dołu szeroką falbanę, przyszycie której przykrywa wązka draperya złożona w fałdy. Wzdłuż przodów naszyte fałdowanie z gładkiego materyału.

N. 4. Sukienka bluzkowa z marszczonym karczkiem, dla dziewczynki lat 7 — 10.

Najpierw dopasowywa się podszewkę formą princesse, poczem materyał z wierzchu przemarszcza się drobno na karczek 11 cent. szeroki, poniżej którego sukienka ułożona w kontrafałdy, opuszcza się nakształt bluzki i dochodzi do garnirunku dolnego, złożonego z dwóch falbanek i plisowania. Kołnierzyk i mankiety z haftowanej falbanki; kokarda z wstążki 10 cent. szesokiej.



N. 1—2. Ubrania dla małych dzieci.



N. 3. Sukienka princesse z pelerynowym kołnierzem, dla dziewczynki lat 7—10.



N. 4. Sukienka z marszczonym karczkiem.



N. 5—6. Suknie krótkie balowe dla młodych osób.



N. 5. Suknia z długim gorsecikowym stanikiem. N. 6. Suknia z bawetowym stanikiem.

N. 7. Żabot z indyjskiego muślinu.

N. 5—6. Ubrania wieczorowe dla młodych panienek.

N. 5. Suknia z długim gorsecikowym stanikiem.

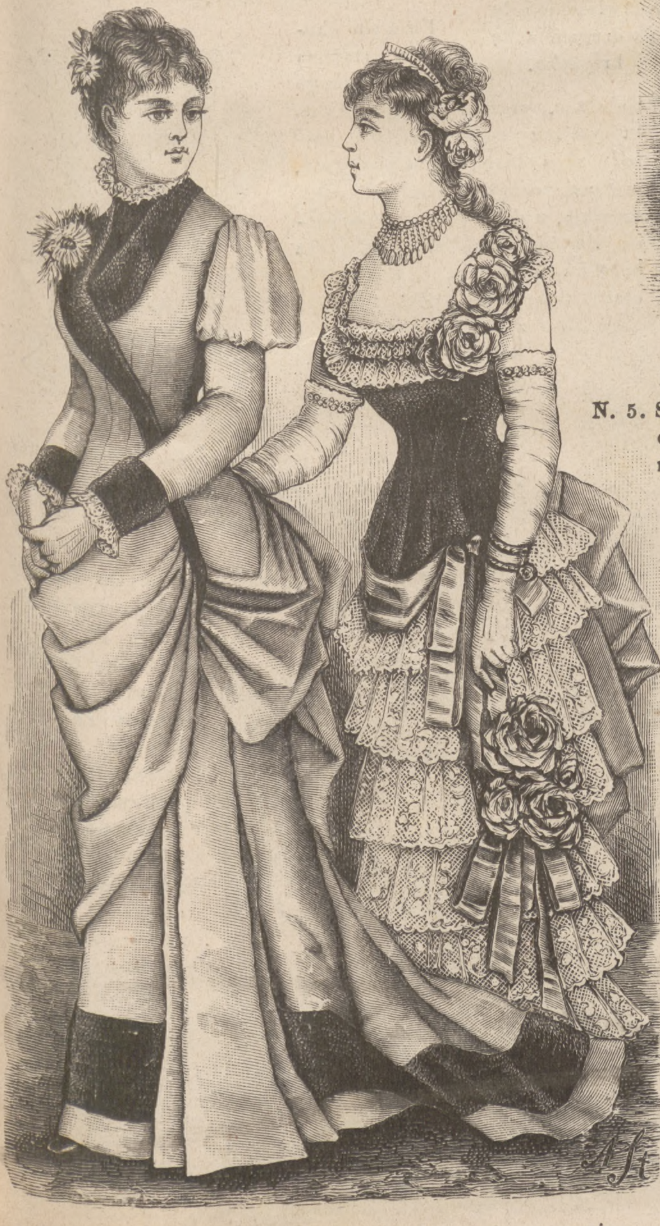
Materya surah, atłas i koronka koloru crême, stanowią materyał na tę strojną suknię. Spódniczka cała zagarnirowana falbankami jedwabnemi, koronkowemi i przemarszczeniem, ułożonem podług ryc. 5. Tunika z jednego boku krótko przewiązana węzłem, z tyłu ma bryt prosty podpinany. Stanik obciska długi atłasowy gorsecik wyszyty perełkami.

N. 6. Suknia z bawetowym stanikiem.

Spódnica z materyi surah blado-zielonej, jest od góry przemarszczana na 30 c. długości, niżej dana szeroka bufa, a w dolnej połowie sukni idą naprzemian falbanki jedwabne i koronkowe. Panier mocno odstający i wycięty stanik bawetowy jest z deseniowej materyi; zamiast rękawków rusza koronkowa. Przy wykroju stanika i z jednej strony u dołu panier dana suta girlanda z róż.

N. 9. Suknia z wyciętym stanikiem pluszowym.

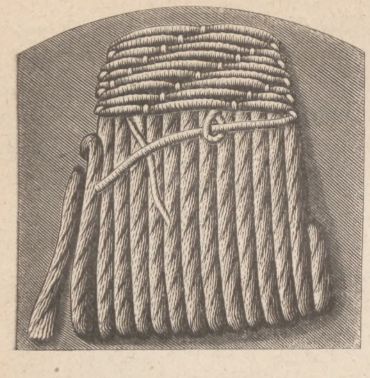
Spódnica z blado-niebieskiej materyi surah, zakończona jedwabnem plisowaniem 10 cent. szerokiem, zagarnirowana jest koronkowemi marszczonemi falbanami po 15 c. szerokości. Stanik sznurowany z tyłu jest z pluszu granatowego; na tylnym brycie sukni dane krótkie upięcie z materyi; u dołu zaś stanika i z boku spódnicy dane przybranie z wstążki, przepięte różami. Takież róże przy wykroju stanika i we włosach.



N. 8. Suknia zdobna pluszem. N. 9. Suknia balowa z wyciętym pluszowym stanikiem.



N. 10. Suknia z vêtement à panier. N. 11. Suknia z draperyą szalową.



N. 15. Wykonanie haftu złotem do ryc. 21 w N-rze 12.

N. 10. Suknia z vêtement à panier.

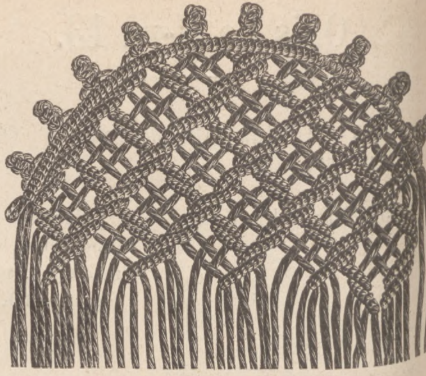
Może być odrobiona z ciemnego lub jasnego wełnianego materyału; spódnica gładka lub plisowana; zakończona u dołu sutą przemarszczaną riuszą. Krótkie vêtement z przodami à panier, ma krótkie plecy u góry płasko zaplisowane, w środku drobno ściśle przemarszczone, a u dołu podłożone w bufkę, pod którą dodany krótko podpięty bryt prosty. Wązkie rękawy zdobne dwoma bufami.

N. 11. Suknia z bawetowym stanikiem i draperyą.

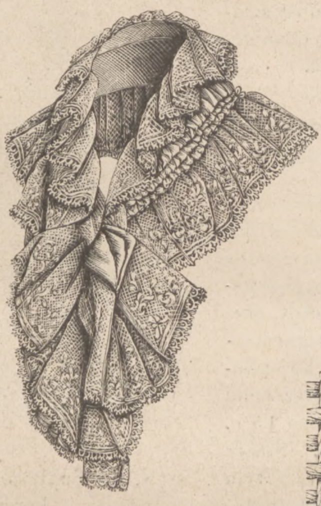
Spódnicę od dołu przysłaniają dwa wolanty, po nad któremi przerzucona szalowa materya z materyału w kratę; gładki stanik z baskiną opasany szarfą z szerokiej wstążki.



N. 12. Suknia z szarfą. N. 13. Suknia z fałdowanym stanikiem. N. 14. Suknia z draperyą à panier. Patrz r. 25 i 26 w N. 12.



N. 18. Robota wiązana do kieszonki do zegarka ryc. 19.



N. 16. Chusteczka z gazy i koronki.

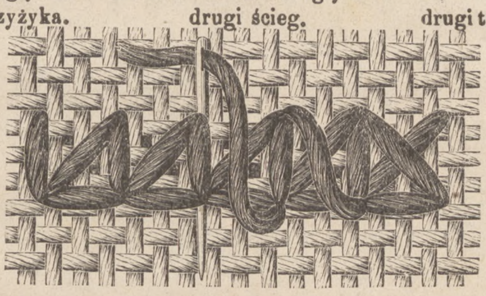
N. 12. Suknia zdobna szarfą.

Gładka morowa spódnica zakończona u dołu wązkiem plisowaniem, nad którem dana riusza ułożona à la vieille. Vêtement z indyjskiego kaszmiru, przewiązane jest szarfą przerzuconą z przodu i suto upiętą z prawego boku. Kołnierz i wykłady morowe.

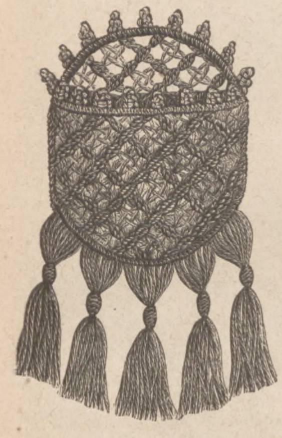


N. 23—25. Wyszycie ściegu krzyżykowego ażurowego.

N. 23. Włożenie igły na pierwszy ścieg krzyżyka. N. 24. Włożenie igły na drugi ścieg. N. 25. Ścieg pierwszy i drugi tudzież włożenie igły na drugą ściankę krzyżyka.



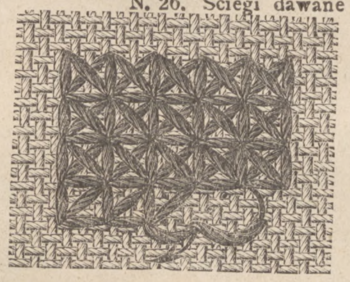
N. 26. Ściegi dawane od ręki prawej ku lewej.



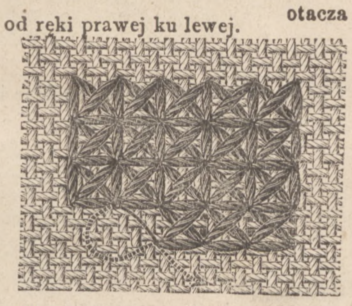
N. 19. Kieszonka do zegarka.

N. 13. Suknia z fałdowanym stanikiem.

Spódnica z mory w pasy, ma przód i boki zdobne marszczonemi bufami u dołu zaś dane falbanki po 7 c. szerokie, układane w kontrafałdy i falbana koronkowa 8 cent. szeroka. Przednia draperya z materyi surah oszyta jest dwa razy u dołu koronką; upięcie tylne dane jest z materyi i mory. Stanik z mory ma środkiem pleców wstawione drobniutkie plisowanie z materyi surah.



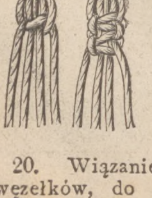
N. 27. Prawa strona wyszycia ściegiem ażurowym.



N. 28. Lewa strona wyszycia ściegiem ażurowym.

N. 14. Suknia z tuniką à panier. Patrz ryc. 25 i 26 w N-rze 12.

Na panier jakie widzimy na ryc. 14, potrzeba dwóch kawałków materyału po 96 cent. długich, 113 szerokich, przy tylnym brzegu ściętych skośnie do 44 cent. dolnej szerokości; części te składają się w ściste fałdy u góry i wzdłuż skośnego brzegu i wszywają w pasek, razem ze spódnicą i w jej szwy boczne. Na ryc. 26 w N-rze 12 podajemy stanik, który z jednego boku ma upięcie à panier, a z drugiego rodzaj wykładu gładkiego, danego na 20 cent. poniżej paska, z tyłu 17, z przodu 3 cent. szerokiego. Prosty bryt tylny, lekko podpięty na spódnicy, która jeżeli jest z materyału kosztownego, jak plusz, brokatela i t. p., to szyje się gładko i tylko u dołu zdobi riuszą. Spódnicę kaszmirową lub atłasową można uszyć podług ryc. 25 w N-rze 12. Stanik ma z przodu i z tyłu dodane płaskie fałdowanie; wachlarzowo upięta kokarda na baskinie pleców jest z materyału wziętego podwójnie, inne kokardy z wstążki 4 i 8 c. szerokiej.



N. 20. Wiązanie węzełków, do ryc. 18 i 19.



N. 17. Chusteczka z gazy w paski i z koronki.

N. 16. Chusteczka z gazy jedwabnej i koronki.

Fason chusteczki stanowi pasek sztywnego tiulu 3 c. szeroki 65 długi, na którym przyczepia się 10 c. szeroki skos białej jedwabnej gazy, przemarszczany w bufki 5 cent. szerokie, u dołu oszyty marszczoną koronką 8 c. szeroką, także koronka przyszyta i odwrócona otacza wykrój szyi. Żabot dodany z kwadratowego kawałka gazy (20 cent.) oszytego koronką w środku ściśle zmarszczonego.



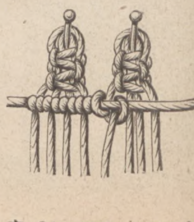
N. 22. Mitenka robotą na drutach.

N. 17. Chusteczka z gazy w paski i koronki.

Podstawę chusteczki zapinanej z tyłu, stanowi wycięty ze sztywnego tiulu okrągły kołnierzyk $5\frac{1}{2}$ cent. szeroki, przy wykroju szyi 41 u dołu 56 cent. obwodu mający, oszyty dwoma rzędami koronki 8 cent. szerokiej. Część przednią chusteczkową stanowią dwa kawałki gazy w paski po 48 cent. długie a 18 szerokie, u dołu ścięte skośnie i oszyte koronką,



N. 29. Szlak ściegiem krzyżykowym ażurowym. Patrz ryc. 23—28.



N. 21. Wiązanie do ryc. 18 i 19.

z brzegów podłużnych obrąbione krytym szwem, sfałdowane podług ryc. 17 i przepięte kokardami z wstążki atłasowej 3 cent. szerokiej.



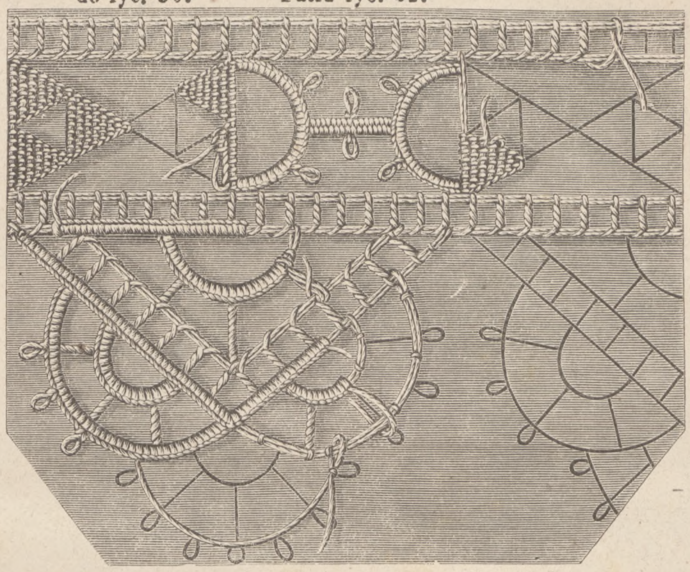
N. 30. Kołnierzyk z koronką retricella. Patrz ryc. 31—32.

N. 30-32. Kołnierzyk z koronką reticella.

Jakkolwiek koronka ta dość jest zmudną w robocie, ale polecamy ją czytelniczkom naszym, piękność jej i trwałość wynagradzają pracę. Ryc. 31 załącza w naturalnej wielkości część koronki z narożnikiem, odpowiedniej do kołnierzyka ryc. 30. Deseń trzeba wyrysować na bibułce lub kalce i przyfastrygować na ceracie; zaczynając robotę trzeba deseń wywieść podwójną nitką, przytrzymywaną poprzecznemi ściegami jak to wskazuje r. 32. Aby nitka jak najrzadziej była ucinaną, trzeba się starać jednocześnie z robotą figur matowych lub ząbków dzierganych, dodawać i łączące je pręciki z okręcanych nitek. Po skończeniu koronki wypruwa się od spodu ściegi któremi przytwierdzane były podwójne nitki stanowiące podstawę.



N. 31. Część koronki reticella z narożnikiem, do ryc. 30. Patrz ryc. 32.



N. 32. Wykonanie koronki reticella. Powiększone. Patrz ryc. 31.



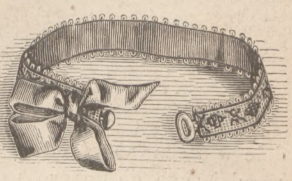
N. 34. Kapelusz aksamitny.

N. 34. Kapotka aksamitna.

Fasonik pokryty jest bronzowym aksamitem, a brzeg rondka objęty torsadką z bronzowych świecących perełek; z wierzchu przypięte są złoconą agrafką dwa strusie pióra; końce z morowej wstążki.

N. 41. Suknia balowa zdobna kwiatami.

Stanik i spódnica uszyte z białej materyi surah, przybranie zaś dane z żółtawego tiulu i takiejż koronki; bardzo głęboki wykrój stanika dopełniony bertą z tiulu i koronki. Krótkie prawie niewidoczne rękawki, zdobne kokardami z koronki upiętej w kształt motyla. Upięcie ułożone z kwiatów pelargonii i liści. Naszyjnik srebrny. Rękawiczki muszkieterskie z duńskiej skórki.



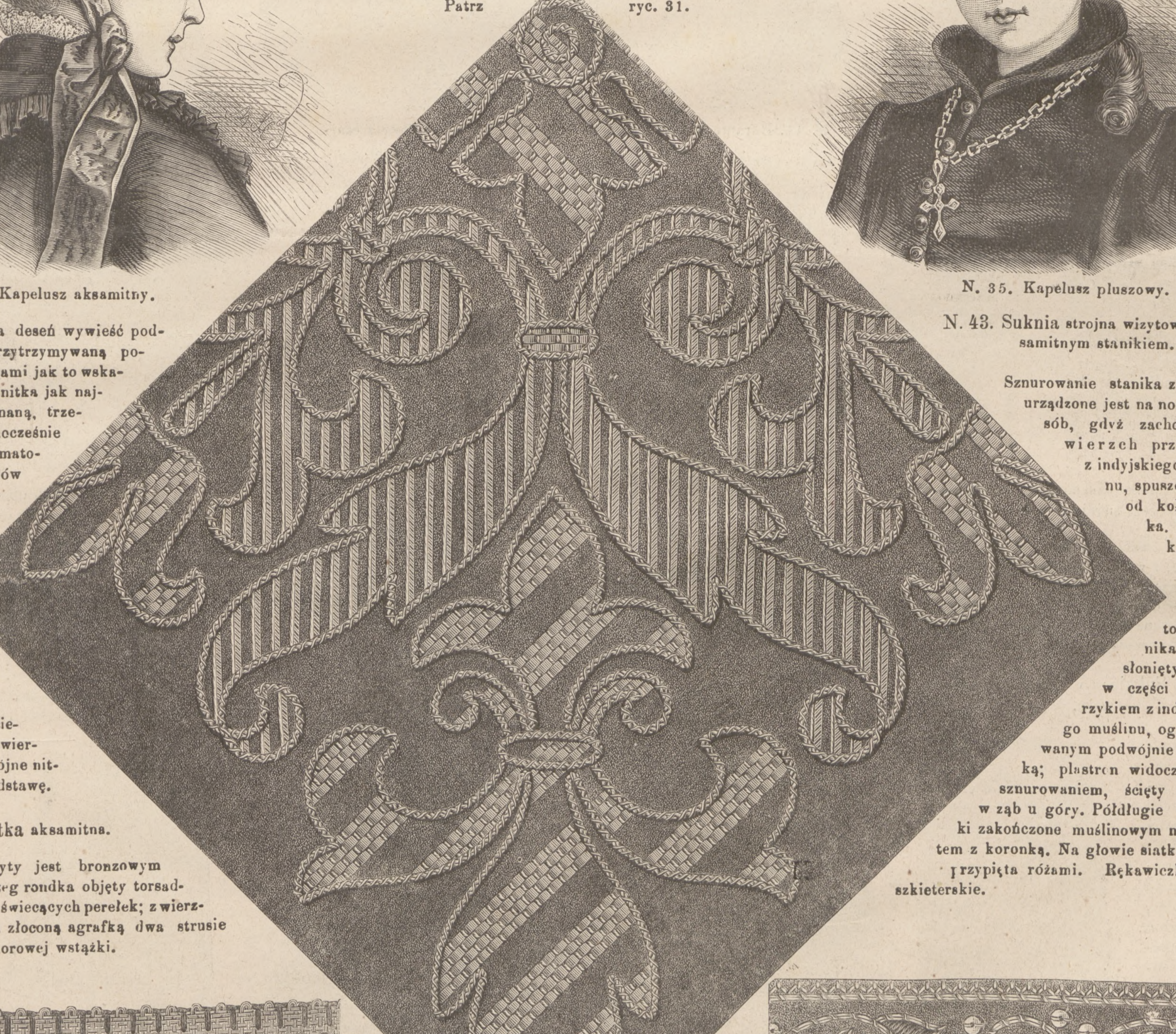
N. 33. Podwiązka.



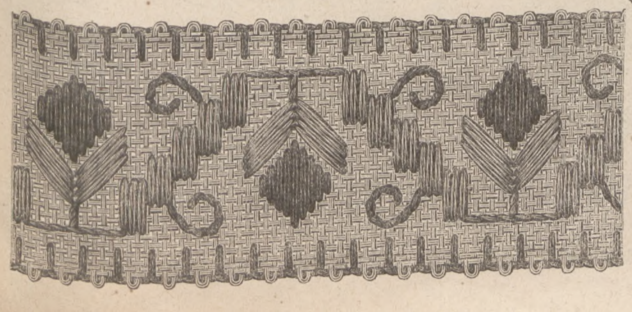
N. 35. Kapelusz pluszowy.

N. 43. Suknia strojna wizytowa z aksamitnym stanikiem.

Sznurowanie stanika z przodu urządzone jest na nowy sposób, gdyż zachodzi na wierzch przybrania z indyjskiego muślinu, spuszczonego od kołnierzyka. Wykrój kwadratowy stanika przysłonięty jest w części kołnierzykiem z indyjskiego muślinu, ogarnirowanym podwójnie koronką; plastron widoczny pod sznurowaniem, ścięty jest w ząb u góry. Półdługie rękawki zakończone muślinowym mankietem z koronką. Na głowie siatka złota przypięta różami. Rękawiczki muszkieterskie.



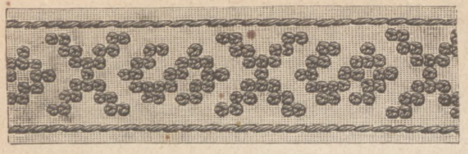
N. 36. Haft złotem do ryc. 3 w N. 12.



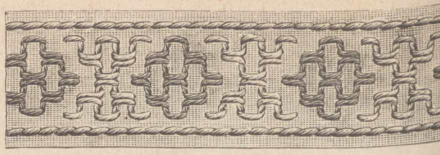
N. 37. Szlaczek ściegiem płaskim.



N. 38. Szlaczek wyszyty nitką złotą i blaszkami.



N. 39. Szlaczek wyszyty supełkami.



N. 40. Szlaczek ściegiem luźnym

N. 46. Paletot długi wcinany. Patrz ryciny 16 — 17 w N. 12.

Po ciężkich zimowych okryciach podajemy na ciepłe dnie wiosenne nowy rodzaj niezmiernie długiego paletota, zupełnie wpadającego do figury, uszytego z rodzaju trykotowego materyału koloru noisette. Skromne przybranie stanowi trochę ciemniejszy kołnierz pluszowy, wielkie guziki pokryte materyałem i rzędy stębnówki. Krój paletota w maleńkim formacie daliśmy na ryc. 17 w N. 12, z wypisaniem miar całkowitej długości i szerokości. Fałdy dane z tyłu w dolnej połowie płaszczyka, zastębnowane są na 45 cent. długości, niżej zaś puszczone wolno.



N. 41. Ubranie balowe z kwiatkami.

N. 42. Ubranie balowe z czarnego atłasu i koronki.



N. 43. Stanik aksamitny sznurowany, do sukni balowej.

N. 47. Suknia z vêtement paletotowem.

Do spódnicy jedwabnej zakończonej plisowaną falbanąi zagarnirowanej z przodu bufkami, włożone długie vêtement pluszowe formą princesse, z przodami szeroko otwartemi i dopełnionemi w górze plastronem morowym. Na szwach bocznych wpuszczona jest szarfa związana z przodu.

N. 48—49. Krawaty do zawiązania na okryciu.

Długość krawatów stanowiących eleganckie dopełnienie spacerowego ubrania wynosi 135—160 cent., szerokość zaś 15—20 cent. Ryc. 49 przedstawia krawat z szerokiej wstążki w środku koloru bordo, z boków vieilor, a paski aksamitne koloru granatowego. Krawat ryc. 48 jest z białej surah, z boków oszyty koroneczką, na końcach przyozdobiony koronką 4 cent. szeroką, bufką 5 cent. szeroką, przemarszczeniem z nagłówkiem i piękną koronką hiszpańską 12 cent. szeroką.



N. 44. Stanik i krótka draperya a panier, do do ryc. 1. w N-rze 12.



N. 48. Krawat z materyi surah do zawiązania na okryciu.



N. 45. Suknia z vêtement i chusteczką pelerynową. Patrz r. 18 w N-rze 12.

N. 46. Ubranie spacerowe z płaszczykiem paletotowym. Patrz r. 16-17. w N-rze 12.

N. 47. Suknia z vêtement paletotowym.



N. 49. Krawat do zawiązania na okryciu.